

AS



Nr. 51 18 XII 1938

CENA 40 GROSZY

LADY CHIC

Fot. C. Anders, Paryż

Nocna przygoda

★
Z Y G M U N T J O R D A N
S Z K I C

Pan Witold Chlupś był w złym humorze. Wszystko się w nim buntowało. Od wczoraj siedzi oto w tej dziurze, w domu zostawił rozpoczęte żniwa, a tu jak na złość, trzeba dalej tkwić i czekać, aż te beznadziejne biurokratyczne dusze raczą załatwić sprawę jego — sprawę tak prostą, że on, ba! — ekonom jego zlikwidowałby całe zagadnienie w ciągu pół godziny!

Każde dziecko wie przecież, że w dzisiejszych czasach, przy obecnych cenach produktów rolnych, jego dwieście pięćdziesiąt morgów ornego nie mogły dać trzydziestu tysięcy dochodu... Skąd?! — Czyż on pieniądze sieje i workami zbiera?... Toż Panie Święty — zdzierżyć trudno, żeby despektu jakiegos nie zrobić i nie zostawić całej sprawy jej własnemu losowi!

Pan Chlupś wyszedł z odrapanego budynku, w którym mieścił się urząd skarbowy i stanął bezradnie na ulicy.

Dokąd pójść?... Miasteczko było sennie i ciche. Tylko koło starostwa i przy urzędzie skarbowym kręciło się trochę ludzi. Żydzi stali w drzwiach swych lichych sklepików, wyglądając napróżno klientów. Wieś pozostała dziś w domu, przy żniwach. Zrzadka tylko przemknął ulicą chłop śpiesząc się, omijał karcznię i zniknął w ulicę, wiodącą na krańce miasta. Pan Witold patrzył za nim z zazdrością. Radby rzucił wszystko i uciekł do domu, gdzie przy żniwie niewiadomo co się dzieje... Przekłeta sprawa! Wlecz się od wiosny i jeszcze końca nie widzisz!

Automatycznie skierował swe kroki ku oszklonej werandzie „Klubu Społecznego”. Spędzał tam od wczoraj cały, wolny od biegania po urzędach, czas. W klubie przynajmniej parę gazet znajdziesz i ilustrację jakąś. Choć stare już, z przed tygodnia i więcej, to jednak lepsze to, niż siedzieć w brudnym pokoju żydowskiego hoteliku, gdzie zatrzymał się wraz z furmanem i końmi.

Przy tem spodziewał się wciąż, że do klubu zajrzy naczelnik urzędu skarbowego; miał nadzieję, że w zmienionych warunkach, zdala od biurka i aktów, człowiek ten okaże może więcej ludzkiego zrozumienia dla krzywdy, jaka go spotyka...

Ale naczelnika w klubie nie było, natomiast od jednego ze stołów podniósł się barczysty jegomość i rozłożywszy ręce szeroko, szedł ku niemu, milcząc, przez całą salę, aż porwał go w ramiona i wśród głośniejszych okrzyków i mlaśnień, bulgotań i westchnień, obłożył policzki zaskoczonego pana Witolda serją pocałunków.

— Kogoż ja widzę! Najmniej się ciebie spodziewałem, Witku kochany! A toż cała niespodzianka! Tyla lat — a poznałem odrazu!...

Teraz dopiero i pan Witold poznał, kto go tak czule wita. Pana Józefa Niepokulicza stracił z oczu lat temu dwadzieścia pięć, wraz z ukończeniem akademii w Taborze. Słyszał, że Niepokulicz ożenił się niedawno w okolicy, sprzedał swój majątek pod Świecianami i przeniósł się w te strony, do majątku żony. Jednak minęły chyba ze dwa lata, a dotąd nie było jakoś okazji do spotkania. Pan Chlupś rzadko zresztą w te strony zaglądał, mając do miasteczka sześć mil.

Kiedy zasadnicze pytania i odpowiedzi zostały wyczerpane, pan Józef ujął w pół pana Witolda — i poprowadził do swego stolika.

— Siadaj kochanieńki, a toż uczyć musimy takie spotkania. Mają tu oni dobrą nalewkę na „smorodinie”¹⁾, w zeszłym roku robioną i zakąsić czem — znajdzie się... Ot — radość dla mnie z takiego spotkania — mówić, patrzeć z ukontentowaniem w przyjaciela. — Pamiętasz nasze pożegnania w Taborze i tę małą, jakże to jej było... Stefi, tak — Stefi... Ach płakałaż ona za tobą, płakała!... Ale ja tu gadu, gady, a nalewka — mówią — sama na stole nie stanie... Panno Zosiu!

W drzwiach stanęła zgrabna blondynka o śmiejących oczach, patrząc porozumiewawczo na pana Józefa.

— Naszą nalewkę proszę! I zakąski jakie... — dysponował Niepokulicz, trącając pod stołem pana Witolda. — Ot, sucha w pecinie nóżka, co? — dodał półgłosem, nachylając się do sąsiada. Panna Zosia spłonęła i prysnęła w drzwi.

Za chwilę stolik zastawiony był suto półmiskami, salaterkami i talerzykami, z których apetycznie wyglądały ku siedzącym różnego rodzaju rybki, grzybki, ogórki i plastry ciemnej, litewskiej szynki. Panna Zosia uwijała się koło stolika, przyjmując zamówienia i komplementy pana Józefa, który widocznie częstym tu był gościem, bo znał na pamięć zapasy spiżarni i bufetu, jak i szczegóły, dotyczące właściwości i upodobań ponętnej blondynki.

— Dzisiaj odjeżdżasz? — zapytał w pewnej chwili pan Józef, napełniając kieliszki po raz chyba dziesiąty.

Pan Chlupś spochmurniał. W myśli stanęły mu rozpoczęte żniwa i jutrzejsza wizyta w urzędzie skarbowym.

— Przekłete podatki! — powiedział, stawiając pusty kieliszek. — Dla dogodzenia fantazji gryziopiórków trzeba siedzieć w tej dziurze, choć żyto we wtorek zacząłem. Wyzłosisz się, zdenerwujesz, a potem siedz całą noc w podłym hotelu i nie zmrz oka, bo gady jakieś obleżą cię i tną... Do jutra zostań muszę. Bronić się trzeba, bo z torbami — wyszedłbym...

— A toż bracie mów tak odrazu! Mowy niema, żebyś spał w hotelu... Od czegoż masz mój dom? Parę kilometrów, pół godziny drogi — i masz łóżko wygodne; prześpisz się, a jutro odstawię zpowrotem, o której tylko chcesz. Nie przepuściłbym sobie, żebyś u mnie nie zanoćował! I pogadać jeszcze można będzie po tylu latach...

Pan Witold niby ociągał się, nie chcąc przyjacielowi kłopotu sprawiać, ale myśl zanoćowania w przyzwoitem łóżku poprawiła mu humor odrazu. To też nie robił długo ceremonii i stanęło na tem, że wieczorkiem pojedą razem do pana Józefa.

Tymczasem panna Zosia przynosiła coraz to nowe smakołyki, a trzecia z kolei butelka „smorodiny” opróżniała się zwolna, ale stale, ukazując wypukłe dno. Towarzystwo przy stole zwiększyło się o kilka osób, przybyłych w międzyczasie do klubu. Każdy chętnie przysiadł się do stolika, którego gospodarzem był pan Niepokulicz, znany z towarzyskości i gościnności. Sywały się wesołe anegdotki, wspomnienia ze studiów, z wojny...; czas leciał niepostrzeżenie, okna złościły się przez jakiś czas luną zachodu, potem ciemniały stopniowo, aż i zapalono lampy, a gwar przy stole nie ustawał i kolejki szły...

Pan Józef zdradzał od jakiegoś czasu niepokój. Kilka razy, spojrzawszy z niechęcią na zegar, wiszący nad drzwiami, ale zaraz odwracał się do towarzystwa i siał dalej wokół perły swego humoru, dolewał, przysuwał, namawiał.

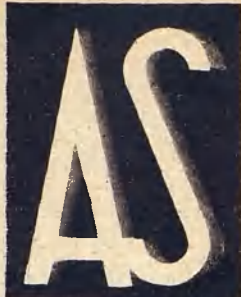
Pan Witold rozochocił się. Nastroj jego poprawił się z chwilą, kiedy do stolika przysiadł się nareszcie długo oczekiwany naczelnik urzędu skarbowego. Kilka zdań, zamienionych z nim w atmosferze tak różnej od poprzedniej, postawiło całą jego sprawę na zgoła innej płaszczyźnie. Okazało się, że naczelnik jest miłym człowiekiem i można się z nim dogadać. Jutrzejsza wizyta w urzędzie skarbowym zapowiadała się lepiej, niż dotychczasowe. Więc i nalewka smakowała bardziej i anegdotki pana Józefa wydawały się coraz śmieszniejsze.

Wreszcie koło jedenastej zaczęto wstawać od stołu. Z ulicy dawno dochodziło niecierpliwe tupanie koni; furman pana Józefa raz po raz odjeżdżał o kilkaset kroków, by znowu wrócić i turkotem zajeżdżającej bryczki dać znać, że jest i czeka...

Miesięczna noc siała srebrne blaski na łany zbóż, na rzędy żyrnych kóp i brzozowe gaje, kiedy nasi przyjaciele wychali z miasteczka na piaszczysty trakt, wiodący ku zastłżonemu noclegowi. Wystane konie rwały szparkim klusem, bryczka mknęła cicho po miękkiej drodze, tylko sytki piach syczał między sprychami kół. Powietrze przesycone było zapachem dojrzalego zboża, macierzanek i wrzosów.

¹⁾ Czarna porzeczka.

ZAŁOŻYCIEL I WYDAWCA: MARJAN DĄBROWSKI
 REDAKTOR: JAN MALESZEWSKI
 KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO
 KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI
 ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
 KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
 PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2



CENA NUMERU GROSZY 40
 PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEN: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 51

Niedziela, 18 grudnia 1938

Rok IV



Fot. Dr. A. M. Wieczorek — Zakopane

W Tatrach spadł już pierwszy śnieg i pokrył góry białym całunem... Południową porą słońce stapia puch śnieżny na obumarłych gałęziach drzew, które wówczas skrzą się niby usiane gwiazdami — klejnotami królowej Zimy...

ASY NUMERU 51-GO: KOPENHAGA. Wędrówka po stolicy Danii zaznajamia nas nie tylko z historycznymi budowlami i arcydziełami miasta, ale też z jego wewnętrznym życiem i charakterem. (Str. 4—5). — **JAK PAN PODAJE RĘKĘ?** Kilka ciekawych zdjęć ukazuje nam, jak charakter jednostki odbija się w uścisku dłoni i na jakie „typy” możnaby podzielić „shake-hand”. (Str. 11). — **TRADYCJE Z FAR-WESTU.** Prozaiczna Ameryka chętnie odświeża swoje dawne tradycje, zwłaszcza, jeżeli chodzi o przeszłość miejscowych Indian, to też rok rocznie odbywa się w Pendleton, Ontario, ciekawe święto, podczas którego odżywają stroje i zwyczaje ubiegłych czasów. (Str. 16—17). — **RYBY WIGILIJNE.** O zwyczajach świątecznych w Polsce i o potrawach, które w przyjęciu wigilijnym grały zasadniczą rolę. (Str. 19). — **Z teki muzycznej „Asa”:** KWITNĄCE AKACJE. Muzyka Adama Harasowskiego. Słowa Mieczysława Zielenkiewicza. (Str. 22). — **WYWIAD Z GWIAZDĄ.** Uroczą artystką amerykańską Grace Moore, która bawiła ostatnio w Warszawie, zwierza się Czytelnikom „Asa” ze swoich przeżyć w Polsce, w której doznała niezwykle serdecznego przyjęcia. (Str. 25). — **W JAKICH BUTACH CZŁOWIEK PRZEMIERZAŁ ŚWIAT?** Można również w dziedzinie obuwia wykazywała od czasu do czasu niezrozumiałe dziwactwa, powtarzające się do dziś dnia, ale ustępujące miejsca pod wpływem sportów, zdrowemu i praktycznemu obuwiu. (Str. 27). — **SZTUKA OBDAROWYWANIA.** Praktyczne rady dla tych wszystkich, którzy w dniu Bożego Narodzenia zamierzają uczynić swoim najbliższym i przyjaciołom niespodziankę w postaci pięknego i oryginalnego prezentu. (Str. 28—29). — **Nowele.** — Kącik filatelistyczny. — **Gimnastyka.** — **Dział gospodarstwa domowego.** — **Humor.** — **Rozrywki umysłowe.** — **Nowe książki.** — **Na scenie.** — **Program radiowy.**

Z rozległego Raadhuspladsen (plac Ratuszowy) wchodzę w wąską ulicę, która pozornie nie obiecuje wielu ciekawych rzeczy. Stare domy naprzemian z nowymi wypełniają całą przestrzeń, pozostawiając wąskie chodniki. Po gładkiej jezdni suną jeden za drugim słoczone auta; z trudem przeciska się wielki autobus przez ten ruchliwy korowód, a rowerzyści, nie mając, wyjątkowo tutaj, wydzielonej dla siebie

sprawy im pewną różnicę, a o pośpiechu, mowy niema. Spokojny temperament Duńczyków tak samo objawia się w sposobie zachęcenia do kupna: pokazują żądane przedmioty i pozostawiają dowolny wybór. Rozglądając się tu i tam, szybko przechodzę wszystkie piętra magazynu. Wypatruję ostatnie „cri de mode“ w działach damskiej konfekcji. Manekiny, w specjalnie sprytnie założonych chusteczkach na gło-

Fragment pomnika króla Krystjana IX, w Kopenhadze.



KOPENHAGA

Gielda w stylu renesansu holenderskiego w Kopenhadze.

jezdni, gubią się rozproszeni. Dla pieszych pozostaje niewiele miejsca, lecz mimo to widzę tu dużo eleganckiej publiczności i ładnych długonogich kobiet. Ta ulica musi coś ukrywać, posiadać jakiś magnes.

Zaciekawiona idę dalej — ten i ów magazyn przyciąga mój wzrok; wystawy prezentują się w całej okazałości. Zapuszczam się więc głębiej i rozumiem, że ta, zdawałoby się niepozorna ulica, to sieć, chwytająca w swe sidła każdego. Tutaj bowiem ulokowały się najwspanialsze sklepy Kopenhagi.

A gdy tak kolejno zaczęłam oglądać wystawy — przepadło — dostałam się w czarodziejski krąg, z którego trudno wyrwać się kobiecie. Niebezpieczna to ulica! A już największa groza zawisa nad portfelami męskimi, bo wszak samo tylko patrzeć na tyle pięknych rzeczy nie zadowoli kobiety.

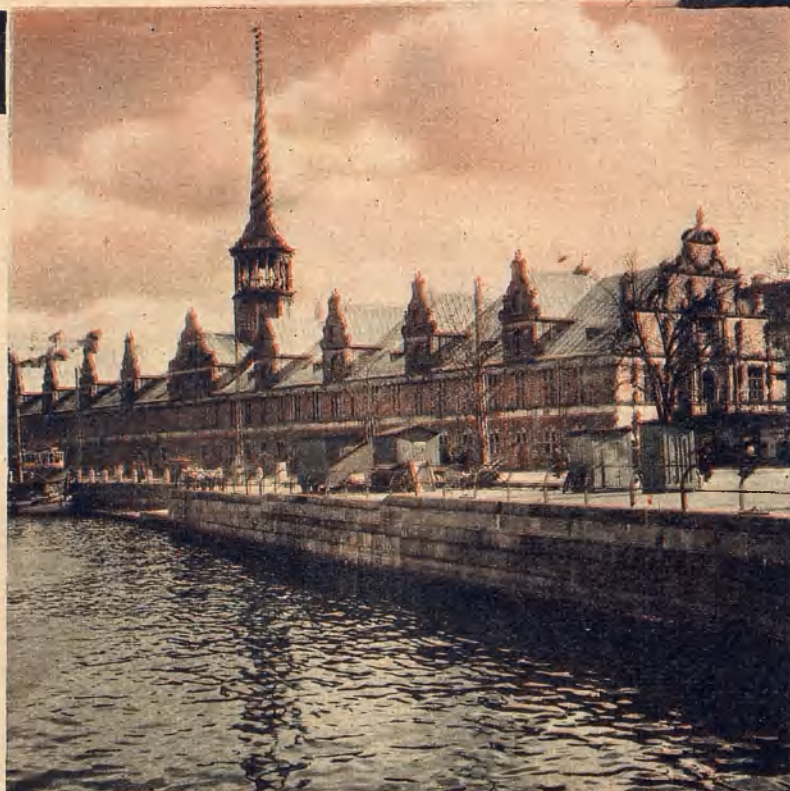
Sklepy kopenhaskie posiadają olbrzymi wybór pięknych i wytwornych drobiazgów. Suknie, kostjumy, kapelusze, rękawiczki, torebki — wszystko artystycznie podane. Uderza mnie wielka ilość przestrzeni, jaką rozporządzają poszczególne wystawy i jak umiejętnie, z dobrym smakiem i swobodą wyzyskano to miejsce.

Tak pięknie wyglądające wystawy zachęcają do zapoznania się z wnętrzem. Ulegam więc pokusie i wchodzę do wielkiego kilkopiętrowego magazynu. Elegancki portjer uchyła grzecznie czapki. Wewnątrz — jasno, przestronnie, gustownie. — Kunsztowne girlandy ładnie odrobionych kwiatów dekorują balustrady. Wszędzie panuje spokój i ład.

Obserwuję wszystko, zatrzymując się przy ciekawszych gablotkach. Nie jest tu jednak w zwyczaju rozrzucanie towaru po ladach, jak robią to wielkie magazyny paryskie. I nie można tak „po parysku“ swobodnie przebiegać i oglądać: zaraz zbliża się uprzejma blondynka, pytając, czego sobie życzę. A równocześnie zauważyłam, że zjawienie się klientki, mimo całej uprzejmości,



Gwardziści królewscy trzymają straż przed pałacem Amalienborg.



wie — defilują przed kupującymi. Celofanowa pelerynka od deszczu, która składa się w małą kopertę, musi być bardzo praktyczna i „portable“.

Dużo gorzej przedstawia się sprawa obuwia i kapeluszy (a przecież są to dwa niesłychanie ważne czynniki w sylwetce elegantki!) Otóż modele paryskie zaspokoją oczywiście najbardziej wyszukane gusta, ale też i kosztują ładną sumkę: inne zaś „made in Denmark“, są niemożliwe. Obuwie zaś sprowadza się przeważnie z Anglii i Ameryki, dopasowując oczywiście, do niestety wielkich i płaskich stóp, składnąd dorodnych Dunek.

Dalszy dział, to przybory do podróży: torby, torebki, nesesery, walizy, pudła, kufrы określone.

Nowoczesna budowla w porcie w Ystad (Szwecja).

towe — wszystko wyrabiane tutaj wytwor-
nie i pięknie.

Dział meblarski zachwyił mnie najbar-
dziej. Lubują się Duńczycy w wygodnych
meblach. — Nieprzebrana ilość foteli: je-
den bardziej pochylony i niski, dru-
gi wyższy a zato z pomysłowo umieszczo-
nymi poręczami i oparciami na głowę: ka-
napy, kanapki, pękate, szerokie, obite pię-
knymi materiałami, obite skórą — świadczą
swymi harmonijnymi linjami, że je projek-
towali artyści. Specjalnie ładne są także ma-
leńkie stoliki, których blaty zrobione są
z artystycznie wykonanych kafelków. Dalej
meble ogrodowe: taburety, bujające kanapki,
chaise-longue i t. p. Niemożliwością jest wy-
liczyć wszystkiego, tyle tu gustownych rze-
czy, które jedynie mają za cel umilać ży-
cie. Emanują one obietnice takiej wygody,
że wyobrażam sobie, jak wielką muszą da-
wać w rzeczywistości. Nic więc dziwnego, że
na samą myśl o tem, poczułam zmęczenie.
A tu właśnie otwierają się drzwi restaura-
cji, umieszczonej na najwyższym piętrze
magazynu.

Wchodzę. Wszystkie prawie stoliki zajęte.
Muzyka, dyskretnie ukryta we wnęce, gra
„Nad pięknym modrym Dunajem”. — Melo-
dja bardzo na czasie... Godzina czwarta,
więc zebrane tu eleganckie panie i młodzi
ludzie popijają oczywiście „thé complet”. —
Jest to, u nas nie wprowadzony jeszcze,
sposób podawania herbaty po angielsku (ra-
zem z esencją), do tego toast, masło, mar-
molada (koniecznie pomarańczowa), biszko-
py. Smaczny, ciepły toast chrupie. Gorzka mar-
molada przypomina Anglię. Dookoła jasno-
włose Dunki zaciągają się na zabój moc-
nym i aromatycznym egipskim „Simon
Arct”. Starsze matrony z lubością palą dłu-
gie hakańskie cygaretki. Gwar, śmiechy. —
Pośród tego wszystkiego ja, Polka, obser-
wuję: o uszy obija mi się ich dość skompli-
kowany w brzmieniu język: co chwila sły-
szę: „tak” (wymawiane nieco inaczej, niż
u nas, „t” raczej jak „cs”) — znaczy —
dziękuję. Duńczycy, z natury bardzo uprzej-
mi, dziękują sobie nieomal bez przerwy. —
Słyszając rozmowę Polaków, powtarzając:
„tak, tak, tak”... muszą uważać, że jesteśmy
bardzo grzeczni.

Bezszelestna winda zwozi mnie na sam
parter, skąd wydostają się na ulicę, by dalej
wypatrywać różne ciekawostki.

Wspaniale przedstawia się dwupiętrowa,
od góry do dołu oszklona, wystawa drugie-
go wielkiego domu towarowego. Obecnie, ja-
ko, że nastał okres week-end'ów, ułożono tu,
w wielce pomysłowy sposób, wszystko, co
w tym celu poleca magazyn. Trzeci wielki
sklep, również bogaty, wystawia przemile
mebelki ogrodowe, suknie odpowiednie
do pracy w ogródkach i wszelkie przy-
rządy ogrodnicze. Inna firma znów pokazu-
je przeróżne kapelusze z fantazją włożone
na głowy manekinów, które wychylają się
z wielkich pudeł.

Lecz najdłużej zatrzymuje mnie wytwor-
na porcelana królewskiej fabryki (Den Kon-
gelige Porcelainsfabrik). Zachwyca subtel-
ność rysunku i kształtu, pastelowy koloryst
i poezja tematów. Najbardziej znane w nie-
bieskim odcieniu kwiaty i pejzaże kopenha-
skiej porcelany nie ustępują nowoczesnym
o śmiałych kształtach i zielono-brunatnym
kolorze wyrobom ceramicznym tejże fabry-
ki. Wszystkie te cuda, w drobnej tylko czę-
ści tu wymienione, mieści w sobie czaro-
dziejka ulica. Chcę jej tą drogą zwrócić ho-
nor i dziwię się, że mogłam przez chwilę
myśleć źle o niej. Ale wiadomo — pozory
mylą.

Wanda Żeliszawska.

Pałac A. Møllers (rezydencja królew-
ska) w Kopenhadze i pomnik Fryderyka V.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA: W. ŻELISŁAWSKA.



UBEZPIECZENI ŻYJĄ DŁUŻEJ

Kraków, 3 grudnia.

Kto chciałby dożyć 100 lat? Prawdopodobnie wszyscy. Ale niestety, [z] pośród 160.000 chętnych kandydatów na stuletnich staruszków osiągnie ten jubileuszowy wiek — zaledwie dwóch.

Istnieje specjalna gałąź wiedzy, zajmująca się obliczaniem szans dożycia i śmierci oraz ocenianiem, jakie ryzyko wiąże się z zawarciem pewnych transakcji finansowych z człowiekiem np. 50-letnim. Jest to *matematyka ubezpieczeniowa*. Ponieważ ludzie lubią ze wszystkiego wyciągać korzyść praktyczną, więc też wykorzystali i rozważania nad prawdopodobieństwem śmierci, opierając na nich tak ważny dział pracy społecznej i gospodarczej, jak *ubezpieczenia na życie*.

Niejednokrotnie laik zastanawia się: *jak może się opłaci towarzystwu ubezpieczeniowemu wypłacanie wysokich premii? Przecież często zdarza się, że ktoś wpłacił zaledwie 100 zł. składki ubezpieczeniowej, a tymczasem rodzina otrzymuje 10.000 zł!* Owe „często” jest jednak ściśle przewidziane; od dokładności obliczeń zależy tu byt towarzystwa ubezpieczeń i interes ubezpieczonych.

Dobrze, ale skąd mogą wiedzieć ci specjaliści, ilu ludzi umrze w danym roku, skąd wiedzą, jak rozłożyć ryzyko na wszystkich ubezpieczonych?

Jeśli tego chcemy się dowiedzieć, musimy zajrzeć do tych gabinetów, gdzie, obstawieni czarnymi pudłami arytmometrów — pracują nad temi zagadnieniami matematycy.

A więc — przenieśmy się do gmachu ubezpieczeń na życie P. K. O., gdzie rozporządza ją najciekawszym materiałem, z tej prostej przyczyny, że sama PKO posiada tytuł klientów w dziale ubezpieczeń, co razem wzięte dwa inne największe w Polsce towarzystwa ubezpieczeniowe.

U podstawy tabeli składek ubezpieczeniowych PKO tkwi — podobnie jak we wszystkich instytucjach ubezpieczeniowych — *tablica prawdopodobieństwa życia*.

Wprawdzie celem ubezpieczenia na życie jest gromadzenie pewnego kapitału na starsze lata, kiedy maleje nasza zdolność zarobkowa, ale PKO musi przewidywać, że w pewnych wypadkach ubezpieczony może starości nie doczekać i wówczas kasa ubezpieczeniowa wypłaci rodzinie, czy też innym osobom, wskazanym przez ubezpieczonego pełną sumę ubezpieczenia, *nawet choćby wpłynęła tylko drobna część składek*.

Wszyscy spodziewamy się długiego życia, ale jak to mówią: *człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi*. Niedarmo też wymyślono przysłowiową „cegłę”, która nagle na ulicy spada komuś na głowę. Otóż ubezpieczenie jest *rozłożeniem ryzyka na większą ilość osób*. Aby jednak określić ryzyko i odpowiednio skalkulować składkę, musimy wiedzieć, kiedy śmierć najbardziej nam grozi.

Interesujące zestawienia w tej dziedzinie zrobili Niemcy. Wynika z tych obliczeń np., że *kobiety są na ogół bardziej długowieczne od mężczyzn*. Dalej, że największe niebezpieczeństwo grozi dzieciom, bo ze stu tysięcy noworodków męskich dochodzi do lat 5-ciu tylko 60 tysięcy. Dziecko, które przeżyje 5 lat, uchroniło się od najgorszego — od tego momentu śmiertelność maleje; najmniejsza jest między 10-tym a 20-tym rokiem życia. Po 20-tu latach trochę wzrasta, by znów dokonać gwałtownego skoku między 45-tym a 55-tym rokiem.

Interesujące jest, *jakiego rodzaju śmierć*

grozi nam w różnym wieku, czyli innemi słowy, na co się najwięcej umiera.

PKO przeprowadziła w tej sprawie pewne interesujące obserwacje. Okazało się, że *młode pokolenie najęściej trzebi gruźlica* — w miarę przyrostu wieku, maleje liczba wypadków śmierci na gruźlicę, wzrasta natomiast jako przyczyna zgonu *choroba serca i przemiany materji*.

Jakaż więc z chorób jest największym wrogiem człowieka? Oczywiście — różna w różnym wieku. Zdaje się jednak, że w nerwowej atmosferze współczesnej przy życiu pełnem gorączkowego pośpiechu, najczęściej wywołują choroby serca, stanowiące czwartą część przyczyn zgonu wśród ludzi ubezpieczonych na życie w PKO. Drugie pokazuje miejsce — prawie 20% — zajmuje gruźlica, potem idą nowotwory i nieszczęśliwe wypadki.

Śmierć niespodziewana, tragiczna jest najdotkliwszym ciosem dla bliskich zmarłego, ciosem najcięższym moralnie i materialnie. Odchodzi z życia człowiek pełen sił, energii, zdrowia — katastrofa zabiera go w chwili, gdy był związany z dziesiątkiem spraw, z dziesiątkiem interesów. Opuuszczony warsztat pracy narażony jest wówczas na zniszczenie, rodzina znajduje się nagle bez środków do życia, nieprzygotowana materialnie do niespodziewanej zmiany sytuacji. Dlatego też PKO, oceniając trudność sytuacji, wypłaca w razie śmierci ubezpieczonego wskutek nieszczęśliwego wypadku podwójną premję ubezpieczeniową.

Oto przykład z życia: w dniu 14 lipca zmarł tragicznie jeden z ubezpieczonych. Ubezpieczył się zaledwie na dwa tygodnie przed śmiercią na 10.000 zł. Gdyby tego nie uczynił, żona po śmierci męża zostałaby bez środków do życia. Dzięki ubezpieczeniu otrzymała podwójną sumę ubezpieczenia, tj. zł. 20 tysięcy, choć zmarły mąż zdążył opłacić tylko kilka złotych za jeden miesiąc.

Najczęstszą przyczyną śmierci wskutek nieszczęśliwego wypadku są *zabójstwa*, następnie wypadki przy pracy, samochodowe i kolejowe oraz wypadki wskutek nieumiejętnego obchodzenia się z bronią. Są prace, jak np. kolejarza, czy lotnika, które bardziej narażają człowieka, niż inne spokojne zawody. Istnieją również zawody, szczególnie zagrażające zdrowiu. Według obliczeń angielskich okazuje się, że przeciętnie najdłużej żyje duchowny i rolnik, długowieczni są również artyści, lekarze, pisarze i adwokaci, najgorzej zaś przedstawia się sprawa dla szoferów autobusów i pracowników nocnych lokali.

Jak oryginalne czynniki mogą nieraz wpływać na ubezpieczenie świadczy znany wśród specjalistów zagadnień ubezpieczeniowych przykład Szwajcarii.

Wkrótce po wielkiej wojnie spadła na Europę klęska grypy. Zanim jednak rozprzestrzeniła się po innych krajach europejskich, zaatakowała najpierw Szwajcarię. Nie umiano jeszcze walczyć z nową chorobą, to też niemal każda rodzina kogoś opłakiwała. Niemal w każdej rodzinie, jako pomoc w kłopotach materialnych, zjawiała się *wówczas premja ubezpieczeniowa*. Można by przypuszczać, że wypłata tytuł naraz nieprzewidzianych sum narażała Towarzystwa ubezpieczeniowe na kłopoty. Stało się jednak inaczej i od tego momentu właśnie datuje się w Szwajcarii rozkwit ubezpieczeń. Przekonano się bowiem, że można ubezpieczeniom ufać i rozumiano, doświadczywszy nieszczęścia na własnej skórze, jak wielką pomocą jest wypłata sumy ubezpieczenia.

W pewnym sensie podobne zjawisko mamy

i w Polsce. P. K. O. coraz bardziej przekonują namyślających się, że ubezpieczenie na życie jest obowiązkiem każdego człowieka, który potrafi rozsądnie myśleć o własnej przyszłości i który kocha swych bliskich. Kapitał ubezpieczeniowy zapewni mu spokojną starość, w razie zaś nieprzewidzianej śmierci zabezpiecza byt rodzinie.

P. K. O. może poszczycić się *triumfem swego hasła: pewność i zaufanie*, ponieważ właśnie w okresie, gdy nastąpił spadek ogólnej ilości ubezpieczeń, ubezpieczenia P. K. O. stale rosły i dziś stanowią ponad czwartą część wszystkich ubezpieczeń na życie w Polsce.

Czem to tłumaczyć? — Najlepszą odpowiedź daby listy, jakie otrzymuje Dział Ubezpieczeń P. K. O. — listy, pisane ze łzami wdzięczności, przez dotknięte nieszczęściem rodziny, listy, pisane z radością przez tych, którzy, dożywszy określonego wieku, podejmują swój kapitał, dający im na starość zasłużony dobrobyt. Zresztą spotyka ich miła niespodzianka.

Oprócz przyrzeczonej sumy ubezpieczeniowej otrzymują jeszcze swój okazały procent udziału w zyskach Działu Ubezpieczeń. Napozór wydaje się to dziwne, ale trzeba zrozumieć i ocenić, iż P. K. O. nie jest przedsiębiorstwem, szukającym wyłącznie zarobku; P. K. O. jest instytucją społeczną i dzieli zysk z ubezpieczonymi, którzy swem zaufaniem i swą regularną składką pozwolili P. K. O. wprowadzić pożyteczną dla kraju działalność gospodarczą. P. K. O. to nie jakiś bezduszny urząd, ale ludzie, którzy zdają sobie sprawę ze swego obowiązku, którzy wiedzą, że każda wypłata premja ubezpieczeniowa albo ratuje całość rodziny, albo podtrzymuje warsztat pracy, umożliwia wykształcenie dzieci, które straciły ojca, albo wreszcie sprawi, że kto ciężko pracował całe życie nie będzie na starość ciężarem społeczeństwa.

Tak więc w ostatecznym rezultacie okazuje się, iż „*śmierć oprawiona w ramki*”, jak żartobliwie nazywają tablice matematyczne, na których opierają się ubezpieczeniowe obliczenia, nie jest taka straszna. I rzecz nie do wiary, a jednak prawdziwa — ubezpieczeni żyją dłużej! Z pewnością dlatego, że są to ludzie ostrożni, rozsądni, przeczorni — o czem świadczy już sam fakt ubezpieczenia się. — Niewątpliwie w ich długowieczności ma swój udział również i możliwość przetrzymania wielu chwilowych załamań, przewyciężeń, wielu kryzysów materialnych, dzięki rzetelnemu zabezpieczeniu kapitałów odkładanych w P. K. O.



Nie zawiódł nadziei

Zdobycie celującego świadectwa nie było dla niego trudne. Pijąc codziennie na śniadanie Ovomaltynę, miał dostateczny zapas sił i energii, jego komórki nerwowe zasilane regularnie Ovomaltyną funkcjonowały sprawnie, jego organizm otrzymywał stale potrzebne do wzrostu i rozwoju substancje odżywcze, żołądek nigdy nie był obciążony, gdyż Ovomaltyna, sama łatwostrawna i łatwo przyswajalna, przyspiesza również trawienie innych pokarmów. Ovomaltyna polecana jest przez lekarzy szkolnych. Ovomaltynę piją miliony dzieci na całym świecie.

Tylko Ovomaltyna ma zalety Ovomaltyny!

OVOMALTINE



badź też urzędowe znaczki z napisem „Thule”. Obecnie Eskimosi cieszyć się będą (?) ogromnie z całej serji, obejmującej wartości za 1, 5, 7, 10, 15 öre z królem Krystjanem i za 30 ö. oraz 1 koronę, z niedźwiedziem polarnym.

Doroczna serja „Pro Juventute” jest bardzo podobna do poprzednich i widzimy na niej stroje regionalne kantonów St. Gallen, Uri, oraz Aarau, a na wartości za 5+5 c. piasarza Gessnera. Formaty i barwy te same, co zawsze.

Serje dobroczynne Holandji, Luksemburgu i Belgji, różnić się będą natomiast od dawnych i cieszymy się na nie zgóry, chociaż chętnie zredukowalibyśmy ilość sztuk każdej ze serji do trzech.

Już dziesięć lat istnieje komunikacja lotnicza pomiędzy Holandją, a jej olbrzymimi posiadłościami na archipelagu Malajskim. Śliczne są znaczki, wydane z okazji tego jubileuszu, ale będą zapewne dosyć drogie, bo nie tylko dopłacać trzeba po 5 c. na rzecz



Najnowsze znaczki w górnym rzędzie od lewej: czeskosłowacki, grenlandzki oraz szwajcarski, w środkowym rzędzie dalsze znaczki Szwajcarii, wydane na cele dobroczynne; w dolnym rzędzie dwa jubileuszowe znaczki Indji Holenderskich.

K. N. I. V. L. (odpowiednik „P. L. L. Lot”), ale i czas obiegu był nadzwyczaj krótki.

Cała serja nowych polskich znaczków dopłaty (kolor zielony) ukaże się już w najbliższym czasie w obiegu. W. H.

KĄCIK

FILATELISTYCZNY

Węgry upamiętniły rozszerzenie swych granic emisją dwóch znaczków (przedrukowych), egzemplarze bowiem za 20 i 70 fil-

ler. ze serji św. Stefana zaopatrzono napisem „hazaterés”, co oznacza „powrót do domu”. Zareprodukujemy je oczywiście w następnym numerze.

Nazwa Grenlandji po raz pierwszy ukazała się w filatelistyce, bo wprawdzie znaliśmy już przedtem znaczki dla tego najdalej na północ położonego kraju, ale były to tylko znaczki paczkowe, używane także w Danji,

ŚWIADECTWO MILIÓNOW...

Ponad trzy miliony stałych klientów PKO stwierdza: PKO stoi zawsze na straży naszych interesów, pomnaża nasz dobytek i chroni od wszelkiego niebezpieczeństwa.

PEWNOŚĆ—ZAUFANIE **PKO**

KAŻDY URZĄD POCZTOWY JEST ZBIORNICĄ PKO.

ŻADEN ZABIEG KOSMETYCZNY nie działa tak, jak olejek oliwkowy!



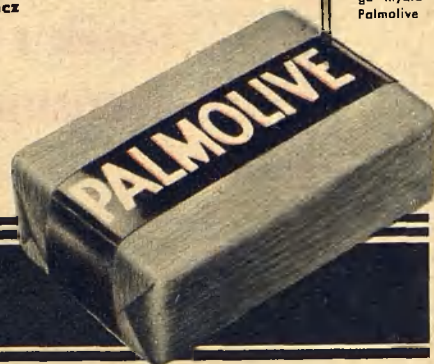
Używaj olejku oliwkowego w jego nowoczesnej formie

Olejek oliwkowy jest niezrównany dla pielęgnowania cery. Jest to zgodna opinia specjalistów. Stwierdzają oni ponadto, że olejek oliwkowy nadaje się doskonale dla każdej skóry. Dlatego też nie należy się wahać, aby zapewnić swej skórze korzyści tego prostego i skutecznego zabiegu olejkami oliwkowymi. Palmolive, mydło na oleju oliwkowym, zapewnia kobietom całego świata czar i piękno. One to przyczyniły się do tego, że jest to najbardziej popularne mydło piękności na świecie. Polskie mydło Palmolive jest tym samym mydłem, które jest tak ulubione w Ameryce, Francji i wszędzie gdzie wytworne kobiety dbają o swoją urodę.

W ciągu kilku tygodni stosowania słynnej metody Palmolive „2 x 2” możesz odzyskać młodzieńczość i ożywić w naturalny sposób swą urodę.

Rano i wieczorem masuj twarz, szyję i ramiona w ciągu 2 minut delikatną pianą mydła Palmolive, wyrabianego na oleju oliwkowym. Spłóć letnią, potem zimną wodą—to wszystko. Wkrótce będziesz oczarowana wynikami, które osiągniesz dzięki mydłu Palmolive. Nie zwlekaj z rozpoczęciem zabiegu Palmolive, używając tego słynnego mydła również do kąpieli.

Przy kupnie
wstrzegaj
się naślado-
wnictw i żą-
daj tylko
oryginalne-
go mydła
Palmolive



SHAMPOO PALMOLIVE, wyrabiane na oleju oliwkowym,
pielęgnuje włosy, jak MYDŁO PALMOLIVE cerę.

Tomasz Krasowiecki ułokował się w wagonie pierwszej klasy. Był bardzo zadowolony, że znalazł wygodny przedział, że zdążył nabyć najnowsze dzienniki, że jego podróżny garnitur leżał, jak ulany, że miał z sobą najlepsze perfumowane papierosy, że jechał do starego, uroczego miasteczka, gdzie nikt na niego nie czekał prócz wspomnień, że pozbył się żony i że... To ostatnie „że” było czarującym vis à vis, ubranem w dyskretnie, a mimo to ciepłe kolory, w kostjum chyba paryski, tak zawirowanie piękny, w jakiś cud kwiatowy, który imitował kapelusze, w woalkę o kolorze rezedy, półhuciki z ażurowo wycinanej skóry, w przeźroczyste pończoszki...

Tomasz nie mógł ukryć swego oczarowania. Pocóż zresztą je ukrywać? Zbieg okoliczności, kaprys chwili zamknął ich we dwoje w przedziale pociągu pospiesznego na przeciąg godziny, która jednak miała nieoczekiwaną i niepokojącą wartość. Trzeba było korzystać z urody tej chwili. Tembardziej, że nieznajoma przyglądała się Tomaszowi ślicznymi, srebrzystymi oczami prawie z tęsknotą. I ten wyraz jej oczu zaniepokoił poważnie Tomasza. Ile razy kobieta tak na niego spojrzała, w jego szare, punktualne, wzorowe życie „stylowego” urzędnika, działały się rzeczy między niebem a ziemią, o których się nie śniło filozofom, a tem mniej buchalterom.

Kim była? Piękność kobiety jest jej najlepszą legitymacją. Kiedyś, przed laty... Tomasz był poetą. Pisywał wiersze, które chętnie drukowano w magazynach literackich. Wiersze z nastrojem, księżycem, jaśminem i łzami, według starej romantycznej recepty. Wiersze — dla dziewczyny. Rokowano mu nawet pewną przyszłość. Życie oduczyło go liryki i przykuło do biurka prokurenta firmy, sprz. dającej auta i motocykle. Ożenił się z pierwszą z brzegu posażną panną. Właściwie sam nie wiedział dlaczego. Zresztą Irena uchodziła za ładną pannę i miała dużo wdzięku. Ogólnie zazdrośczone mu kariery, żony, posagu. A jednak w życiu Tomasza była pustka i z upływem lat pogłębiała się stale i ciągle między nim a Ireną.

Nie było w tem winy żony, nieulej i przeciętnie ładnej kobiety, która go poprawnie, chłodno, ale wzorowo kochała. Była to wina tamtej. Śmiesznej, brzydkiej, niezgrabnej dziewczyny z małego miasta. Jego pierwszej miłości. Miłości? Jeśli można tak nazwać pamięć zapachu kwiatów, pamięć ust w mroku, pamięć naiwnych słów i zdarzeń, które nie były romansem, nie były przygodą, a tylko kartką z życia biednego, prowincjonalnego studenta. Coś jednak było w tej dziewczynie, jakiś utajony czar serca, wdzięk umysłu, urok i powab, co wyzwało w nim tęsknotę do piękna, co zmuszało go do poezji, co dawało mu poczucie własnej wartości.

Ona sama mało go obchodziła. Z czegoś żyła oczywiście, poza czytaniem wierszy i liczeniem gwiazd. Robiła kapelusze dla salonu „Riviera”. Tak samo pretensjonalnie nazywały się jej sny. „Modniarskie” sny, jak to określał pogardliwie. Marzyła o wyjeździe na Riviérę, o sukniach, klejnotach, szmerze kplementów, własnej urodzie. — I odnajdywała to wszystko w jego ramionach. W każdym pocałunku spełniały się jej marzenia. W każdym uśmiechu dzieliła z nim nieznaną i cudowną świat.

Nie zamierzał wiązać z nią życia, choć po wielu latach zrozumiał, że tylko życie z tą szarą, bladą, źle ubraną dziewczyną byłoby naprawdę piękne, że tylko z nią jedną, związany na całe życie, byłby się nadal czuł wolnym człowiekiem. W uroczych ogrodach starego zapomnianego miasta, w pachnącej jabłonią dziażdż, kryło się wielkie, skryształizowane w jednych oczach dziewczęcych piękno.

Zapewne nie kochała go. Była za naiwna, za młoda, niedorośła do szczęścia. Łączyło ich tylko miłosne oczarowanie, rodzaj cza-

Spotkanie



HANNA KŁOSIŃSKA
NOWELA

rującej i nieszkodliwej egzaltacji. Wyjechał nagle. Nawet się z nią nie pożegnał. Kochał inne kobiety i wśród tylu miłości widział zawsze przed sobą nieładną i smutną twarzyczkę tej „pierwszej”. Czasami tęsknił. Nietyle za nią samą, ile za chwilami z nią przeżytemi.

Od lat projektował odwiedziny miasteczka, zawsze jednak zmieniał decyzję. Tego roku zmusiły go do tego okoliczności. W miasteczku zamieszkał stryj Tomasza, dziwak, fantasta, archeolog. Zaprosił Tomasza i Krasowiecki chętnie skorzystał z zaproszenia, tembardziej, że stryj, który dużo podróżował, nie znał prawie zupełnie.

Pani podniosła rezedową woalkę i pozwoliła się podziwiać olśnionym oczom Tomasza. Miała śliczny owal twarzy, dziecięnie nadąsane usta, pełne kobiecych czarów oczy i długie rzęsy, za jakimi Tomasz przepadał. Wydała mu się uosobieniem miasta, do którego jechał. Jego czaru, młodości i poezji. Uśmiechała się jakby ze zrozumieniem i Tomasz zachęcony przedstawił się bez wahania. Okazało się, że jechali do tej samej „dziury”. Nieznajoma miała tam tajemnicze interesy, o które Tomasz nie pytał. Chciał, by okrywała ją pachnąca rezedową tajemnicą, w kolorze woalki, która zalotnym obłokiem owiewała jej główkę. Więc za miast pytał, wspominał.

— Między płotami wije się spadzista uliczka, nazywa się, nazywa się...

— Różana.

— Tak, rzeczywiście, Różana. Jakżeby inaczej mogła się nazywać ulica na prowincji!

— Za starym kościelnym cmentarzem jest aleja lipowa, chodziłem tamtędy o zmroku...

— Z dziewczyną.

— A skąd pani wie?

— Kiedy mężczyzna wspomina aleję lipową, wiemy, że samotnie nią nie chodził. Widział pan później wiele parków i ogrodów, dlaczego ich pan nie wspomina? Były napewno piękniejsze, ale nie były... lipowe. Lipowe! To słowo śpiewa, jak skrzyptce i płynie, jak miód i pachnie, jak ogród. Młodość była lipowa, miłość była lipowa, smutek był także lipowy, złoty i pachnący. Ten lipowy kolor i zapach świata nie powtórzył się już nigdy, nie odnalazł w tysiącu przygód. No, niechże pan odpowie, czy była w pana życiu druga taka godzina lipowa?

— Nie. Nie była.

Pani opuściła rezedową woalkę na twarz i stała się prawie niewidoczna.

— Na ratuszu jest stary zegar z kurantem.

— Wiem.

— Spotykaliśmy się pod tym starym zegarem z kurantem. Czytywałem jej cudze wiersze.

— I szeptałem własne?

— Znowu pani odgadła.

— Wygląda pan na poetę.

Nie wiedział, czy to ironja czy komplement, na wszelki wypadek uśmiechnął się, bo i jakże nie uśmiechnąć się do tych oczu djabełnie ładnych i niepokojących.

— Tak, wtedy pisywałem wiersze.

— Żałuje pan tego?

— Och, nie. Żałuję, że ich dzisiaj nie piszę.

— Czy mógłby mi pan powiedzieć, jak ona wyglądała, ta dziewczyna z poematu.

— A wie pani, że nie pamiętam. Była bardzo pospolita. Żadna... Chciałbym ją jednak zobaczyć, tę moją pierwszą. Och, nie, proszę się tak nie uśmiechać. Nie kochałem jej. Kochałem tylko miłość, kobieta była mi obojętna, ta, czy inna, wszystko jedno. Trzeba mi było kogoś, kto by cierpliwie słuchał moich wierszy, kto by ze mną liczył gwiaz-



To pracy
nie zapominać
o mnie!



Krem NIVEA znajduje się w handlu tylko w oryginalnych opakowaniach. Dobre i znane preparaty są chętnie naśladowane — przestrzegamy zatem przed nabywaniem kremu, sprzedawanego na wagę pod nazwą NIVEA.
Cena od zł. 0.40 do 2.60



Przy zajęciach domowych wymaga cera — a szczególnie ręce — nadzwyczaj starannej pielęgnacji. Tu pomoże Pani NIVEA: wystarczy regularnie nacierać twarz i ręce kremem NIVEA — zwłaszcza przed udaniem się na spoczynek — aby zachować mimo pracy przy domu delikatne ręce i młodzieńczo świeżą cerę. Ale pamiętajmy: Tylko NIVEA zawiera Euceryl, środek wzmacniający skórę.

Bez
płynu

TARR

Ceny jednostkowe
zł. 2.350.6112

golenie jest potowiczne

TARR ZAPOBIEGA ZAOGNIENIU, ZAKAŻENIU I PRĘŻENIU SKÓRY

SCHERK

dy i od czasu do czasu płakał. Nawinęła się jakoś pod rękę. Na imię jej było Tosia. Tak prowincjonalnie. I ona sama pachnęła prowincją, jak ta uliczka Różana.

— Zapomniał pan łatwo?

— Rzecz dziwna, tęskniłem. I dziś jeszcze tęsknię.

Nieznamoma cofnęła się od okna. Zapadł letni szybki zmierzch.

— Ożenił się pan z miłości?

— Można by to tak nazwać. Ale miłość widzi się zawsze w postaci obcej, cudzej kobiety, niespodzianki, fantazji, przygody. Miłość może być np. jak pani, nieoczekiwana, cudza, śliczna, bolesna. Ale nawet przy pani pamiętam o niej. Przy każdej kobiecie kochanej, są do siebie podobne, tylko ona nie jest podobna do żadnej innej. Naprawdę chciałbym ją jeszcze zobaczyć.

— Dlaczego?

— By zapomnieć. Wyszła zapewne zamaż, ma dzieci. Jest brzydka, tego, źle ubrana. Takie, jak ona, te nasze eteryczne i gwia-

dziste, wierszami utulone, marzeniem wypieszczone, zamieniają się w życiu na typ t. zw. kumoszek. Jak w wierszu Pawlikowskiej, zmieniają się w ciotki „pełne kurzej tęczy i jaglanej siły”. A tylko ciocia Jola, wiotka i pachnąca, chodziła w piórkach strusich i tiulach ze słońca, całowała podnosząc gwiazdzistą woalkę... Ciocia Jola, to może pani?

— A jeśli... ona?

— Wykluczone. To był mały koczodan. Nie nosiła woalek i przyznam się pani w sekrecie, że nie umiała całować. Dlatego od niej odszedłem, że nie można się było po niej niczego spodziewać. Wiedziało się zgóry, jaka będzie za lat dziesięć, dwadzieścia.

— A ile wtedy miała lat?

— Szesnaście. Dziś — jakieś dwadzieścia osiem. Niektóre kobiety są wtedy najpiękniejsze, ale ona była taka brzydka. Każdy rok ją postarzał.

— I mimo to zachował pan dla niej tyle sentymentu...

— To nie dla niej, dla jaśminów i prowincji.

— Przypuśćmy. Pan od razu zajedzie do stryja?

— Nie. Już późno. Stryj się niedawno ożenił i nie chciałbym pani domu sprawić niepotrzebnego kłopotu. W miasteczku jest hotel, przerobiony z barokowego pałacyku, z duchami, pelargoniami, legendami i balkonem. Tam przenocuję. Pani zna mego stryja? Podobno osobliwy człowiek, fantasta, uczony, poeta i globtrotter w jednej osobie. Rodzinna fama niesie, że jest hacjecznie bogaty.

— Czarujący człowiek — szepnęła pani z westchnieniem — szkoda, że już zonyaty i to...

— Z kim, niechże pani dokończy?

— Z małą modystką z „Rivier”! Zapewne z tą, o której pan mówił.

— Blondynka, wysoka, z niebieskimi oczami?

— Niestety, ta sama.

— I pani nazywa człowieka, ożenionego z tak nijaką istotą czarującym? Jakżeż mu współczuję! Cóż go tak urzekło?

— To samo, co i pana, wieczory lipowe, ulice różane, zegar z kurantem, naiwna dziewczyna o naiwnym sercu. Romantyczność, proszę pana, ten „dziwny rak”, co toczy prowincję.

— No, nie zazdroszczę mu. Nie zazdroszczę. I żałuję, że nie zabrałem żony. A to mnie pani rozczarowała. Wolę wprawdzie, że ona wyszła zamaż, niż żeby umarła na suchoty, albo wypita esencję octową, jednak...

— Cóż z tem ma pańska żona wspólnego?

— Chciałbym teraz pokazać tej smarkatej, małej, jaką sobie wybrałem kobietę. Bądź co bądź reprezentacyjną, elegancką, ładną.

— Zrobi pan to następnym razem. I wpięrow zobaczy pan, jakiego ona wybrała sobie człowieka.

— Alboż taka gaska umie i może wybierać? To on ją wybrał.

— Niech i tak będzie — pani uśmiechnęła się w mroku.

— Ach, prawda, rozumiem, nazwała go pani czarującym człowiekiem. Czarujący człowiek! Przeżył swoje życie, jak szaloną eskapadę i zawinął do portu z tym, z tym...

— Małym koczodanem — poddała pani. — Właśnie, bo chyba nie zechce mi pani wmawiać, że „świat zeszedłszy, kochał jedną”.

Tomasz przymknął powieki. Milczał przez chwilę i palił papierosa. Wreszcie nieoczekiwanie i przez zęby wymruczał:

— Zapomniała, tak łatwo zapomniawsza!

— Może wcale nie łatwo — uśmiechnęła się do swych myśli śliczna pani.

— Czy ją panią jeszcze zobaczę? Muszę panią widzieć. W tem mieście spotyka mnie zawsze coś dziwnie pięknego, dziś zaś najpiękniejszym z wydarzeń jest pani sama.

— Czy mam ją zastąpić, czy mam być antidotum przeciwko godzinie lipowej?

— Nie! Nie! Przyrzekam pani, że więcej o niej nie wspomnę. Jej już nie ma. Nikogo nie ma. Jest tylko pani. Sama jedna. Sama jedna w mieście mojej młodości. Spotkamy się tylko jeden jedyny raz pod zegarem z kurantem i więcej już nigdy. Naprawdę nigdy. Więc dobrze? Jutro? Widzi pani, chcę pożegnać moją młodość pani ślicznymi oczami, pani uroczym uśmiechem, pani jasnymi włosami. Czy pani mi pomoże?

Pozbyła się go wreszcie, podając numer telefonu.

Nazajutrz wczesnym rankiem Tomasz zadzwonił pod wskazany adres. Pokojówka oświadczyła mu, że zaraz panią Krasowiecką poprosi.

— Panią Krasowiecką? Tomasz powoli odłożył słuchawkę. Więc to była ona? Więc taką kobietą stała się ona, ta jego pierwsza miłość?

Najbliższym pociągim wrócił do Warszawy.

A piękna pani uśmiechnęła się smutnie do milczącego telefonu i wieczorem poszła pod zegar z kurantem, na spotkanie, na które nikt nie przyszedł...



UNIVERSITÉ DE BEAUTÉ
CÉDIR PARIS
PUDRY KREMY
SZMINKI PŁYNY

Własne instytuty kosmetyczne w całej Polsce.



WODA KOŁOŃSKA
333
subtelny, trwały
orzeźwiający
zapach

WODA KOŁOŃSKA
333
FR. PULS
SP. AKC.

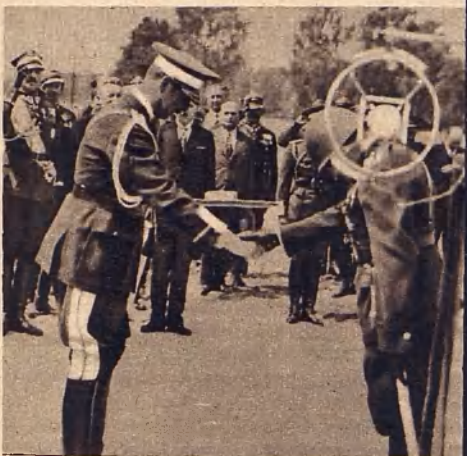
FR. PULS S.A. WARSZAWA



Serdecznie panu gratuluję — mówi Pan Prezydent Ignacy Mościcki.



Zechce pani przyjąć wyrazy serdecznego współczucia — mówi Duce do wdowy po poległym lotniku.



Dziękują panu, pułkowniku, za odznakę pułkową — oświadcza król Karol rumuński pułkownikowi Grodzkiemu w Biedrusku.



Gratuluje pani sukcesu — życzy prezydent Lebrun artystce.

Jak PAN PODAJE RĘKĘ?

Praktyczna rola prawej naszej ręki, którą posługujemy się w najważniejszych czynnościach życia, nabrała wkrótce w dziejach kultury symbolicznego i specjalnego znaczenia. Prawica stała się synonimem charakteru, reprezentantem człowieka: staje się synonimem woli jednostki, jej godności i honoru. Prawą rękę też podajemy w uścisku znajomym już nie tylko dlatego, że jest to proste... najwygodniejsze, ale też dlatego, że właśnie prawica nas „reprezentuje“.

Uścisk dłoni nabrał z tych też powodów znaczenia większego niżby się zdawało: ludzie, którzy w drobniactwach upatrują pewne cechy ludzkiego charakteru, nie pominą, poza pismem człowieka, lub linjami jego ręki, również i uścisku dłoni. Znamionuje on nasz nastrój, nasze intencje, nasz charakter. Ludzie, którzy z racji swego stanowiska, znaczenia itd. muszą stykać się z dużą ilością osób z różnych środowisk, muszą też, nolens volens, „dozować“ swój uścisk dłoni, stosować różne jego rodzaje i odcienie. Nie może prawdopodobnie czynić tego prezydent Roosevelt, który w dniu 1 stycznia ścisnął dłoń kilkunastu nieraz tysięcy ludzi! Wiemy, że niektórzy monarchowie i wielcy ludzie podanie ręki uważali za wyróżnienie dla osób, z którymi mówili: tak czynił podczas audjencji Franciszek Józef, podając rękę tylko dawnym znajomym lub swym krewnym. Inny jednak monarcha, Alfons XIII, lub Albert I i syn jego Leopold III belgijscy są w podawaniu ręki bardzo „szczodrzy“.

Ileż rodzajów i „fasonów“ jest tego „shake-handu“ zależnie od okoliczności, nastroju, sympatii czy antypatii! Nasze zdjęcia informują nas o kilku z nich: gdy prezydent R. P. I. Mościcki podaje rękę serdecznie, uprzejmie i życzliwie, marsz. E. Śmigły-Rydz ma energiczny, żołnierski uścisk dłoni. Kanclerz Hitler nie wkłada w swój shake-hand specjalnej kurtuazji czy uprzejmości, ale podaje rękę prosto, po męsku. Król Jerzy angielski zazwyczaj podaje rękę nieco sztywno. Inny król natomiast, Karol II rumuński podaje rękę wprawdzie nieco wyniośle, ale po żołniersku, zdecydowanie, jak to widzimy na zdjęciu, gdy dziękuje płk. Grodzkiemu za odznakę pułkową, 57 p. p. podczas swego pobytu w Biedrusku. Prezydent Lebrun gratuluje pięknej artystce powodzenie, nie jak prezydent Francji, ale jak życzliwy znajomy, toteż i jego uścisk dłoni jest mniej jak oficjalny: ciepły i ojcowski. Mussolini podaje rękę energicznie, jakby chciał się przekonać o uczuciach osoby, z którą się wita: wkłada w podanie ręki tyleż temperamentu i dynamiki, co w wszystkie przedsięwzięcia. Chamberlain, popularny „latający premier“ wita się życzliwie, ale równocześnie, raczej chłodno. Zresztą Anglicy wogóle witają się mniej jak ludzie kontynentu i kontentują się chętnie jedynie ukłonem.

Gdy więc dobrze będziemy obserwować uścisk dłoni naszych bliskich czy osób ogólnie znanych, możemy z tych obserwacji wysnuć pewne wnioski o ich charakterze i usposobieniu wobec nas.

JGM.



Żołnierski i przyjacielski uścisk dłoni; Marszałek Rydz-Śmigły i gen. Trojanowski.



Dokonaliśmy wielkiego dzieła — mówi Adolf Hitler do Konrada Henleina.



Ceremonialny, pełen dworskości uścisk dłoni Jerzego VI, witającego się ze swym toćciem hr. of. Strathmore, w Edynburgu.



Cieszę się, że pana widzę! — Premier Chamberlain wita się z lordem Halifaxem.

Pan Witold rozparł się wygodnie na siędzeniu i oddał się marzeniom. Pomimo niezliczonej ilości nalewki, którą zdołał przez cały wieczór wypić, czuł się dobrze. Głowa była trzeźwa, tylko ruchy ocięzły i sennaść go ogarniała. Nic dziwnego: poprzedniej nocy nie zmrzyzył oka, atakowany przez chmury robactwa w nędznym pokoiku hotelu. Teraz było mu dobrze. Jechał oto ze starym przyjacielem w wygodnej bryce, a wokoło rozciągała swe uroki cudowna, księżycowa noc letnia. Pan Witold jechał i rozmyślał. Czuł się wrośnięty w tę cichą, senną ziemię kresową; nie zamieniłby jej na żadną inną. Gdzieś tam na dalekim świecie ludzie niszczą resztki tego, co ongiś było przyrodą, pstrzą najpiękniejsze zakątki obrzydliwymi fabrykami, hotelami, rzędami słupów i anten i wszystkim tem, co zdołała zwichnieta natura ludzka wymyślić dla utrudnienia i obrzydzenia sobie życia. Tu jeszcze jest cicho i tu jest prawdziwa wieś. Starczy jej chyba aż do śmierci... I patrzył z przywiązaniem na mijane brzeźniaki i półka, leżące w poświęcie księżycy i dobrze mu było...

Inaczej pan Józef... Im bliżej był domu, tem niespokojniej kręcił się na siedzeniu; wreszcie spojrzął na zegarek i półgłosem odezwał się do towarzysza.

— Wiesz, najlepiej będzie, jak nie będziemy podjeżdżać pod ganek... a to kobiety pobudzą... niechaj śpią sobie...

— Dobrze — sennie odparł pan Witold — dojdziem pieszo...

Przez chwilę milczeli i znowu pan Józef zaczął:

— Moja Jadwisia nie lubi, jak późno wracam do domu. A teraz jeszcze i siostrę ma z sobą, toż kobiety wydziwiają nade mną!... No, ale dzisiaj nic już nie powiedzą, a jutro, jak ciebie zobaczą, to i spokój będzie, Bo prawdziwie — to zabawiliśmy trochę przydługo...

— Uhm...

Przed kołmi zamajaczyła duża kępa starych drzew. Z pomiędzy nich przeblyskiwała biała ściana domu, oświetlona księżycem. Od leżących niżej zabudowań folwarcznych doszło szczebanie psów.

— Wejdziemy cichutko i tobie ja łóżko własne odstąpię, a sam w kancelarii na kanapie się prześpię — mówił śpiesznie pan Józef. — Tylko nie protestuj! Już tak postanowione; ja spałem dobrze w zeszłą noc, a tobie wypocząć się należy...

Gdy pan Witold, po dłuższym krążeniu koło domu i skradaniu się przez ciemny korytarz, znalazł się nareszcie w przytulnym pokoju pana domu, wzięła go taka sennaść, że ledwie zdążył się rozebrać. W pożyczonej przez pana Józefa koszuli nocnej rzucił się na łóżko i prawie zaraz zasnął. Gościny gospodarz przysunął mu jeszcze papierozy i zapaliki i zdmuchnąwszy świecę, przeszedł do przyległej kancelarii, gdzie położył się spać na wąskiej kanapie.

Za chwilę cały dom zapadł w ciszę. Z podwórza dochodziło tylko urywane naszczekiwanie psów i wokoło domu cykały świerszcze.

Było już dobrze po północy, gdy śpiącego smacznie gościa zbudził mały chłód. Pan Witold otworzył oczy — i zmartwiał...

Jakaś postać w bieli stała nad nim i ściągnęła właśnie z niego kołdrę. Chciał krzyknąć, gdy z boku wysunęła się druga biała figura i trzymaną w ręku, jakąś moką i zimną szmatą zaczęła walić poniżej krzyża, wołając przytem:

— A masz łotrze! Hulanki ci się zachciało! Zabawić się... młodzieńkowil... A masz! A masz!

Piekący ból w miejscu, gdzie niegdyś ojciec lokował namacalne rady i lekcje życiowe, otrzeźwił pana Witolda. Zerwał się i krzyknął, naciągając kołdrę zpowrotem na siebie. Widma zawały się i szepnąwszy coś, znikły w drzwiach od korytarza.

Porwał się pan Witold i jak był, w koszuli nocnej, wpadł do kancelarii. Niepokulicz spał smacznie, napół ubrany, przykryty podrózną burką. Na trzask otwieranych drzwi, obudził się i usiadł.

— Co się stało?...

— A ot, co się stało... kobiety twoje — wiadomo — napadły mię, kołdrę we śnie ściągając i czemś mokrem wybiły... Nieprzyjemność wielka...

— Kab' tiebia wolki!... — mruknął pan Józef, ściskając pięść. — Daruj miłenki mój! Takie to, widzisz, brewerje ze mną wyprawiają... Na mnie się były zmówiwszy, a na ciebie popadły... — mówił, zapalając świecę, a na twarzy jego drgał daremnie tłumiony śmiech.

— Nie uwierzysz, jak mnie to nieprzyjemnie, że ciebie w moim domu despekt taki spotkał... Już ja policzę się z niemi!... A mnie nie miej za złe serdeczko, boż ja nie zawinił, a baby!

— Pamiętać — to będę chyba do śmierci, ale nie tobie za złe, tylko ot — tak... a toż zapomnieć trudno o takim przypadku... Śpisz smacznie, a tu ci... ha ha ha!... ręcznikiem... mokrym... ha ha ha: a ot... siurpryz!... hi hi hi!...

I pan Witold stojąc w nocnej koszuli naprzeciw przyjaciela, za brzuch się chwycił i zaniósł się śmiechem niepowstrzymanym.

— Toż bracie... czerewyczajka czysta

u ciebie! Ha ha ha!... Komisarz... hi hi hi!... Biedneńki ty — przed babiskim sądem się teraz tłomaczyć... hi hi hi...

Pan Józef zaraziwszy się śmiechem, przyjaciela, pokładał się po sofce i wtórował dyskretnym basem.

— Ot i wstydu narobiły niewiasty... — mrucał. — Na toż ja przyjaciela po latach spotkał, żeby mi go... w domu moim... obito!... Hu hu hu!... w nocnej koszuli... pędza-no... hu hu hu!... A teraz co?...

— Teraz sam bracie pójdziesz tam spać, bo mnie obojętnie²⁾ byłoby po całej afe-rze... Ja tu zostanę i na kanapce dośpię chyba do rana.

Po krótkich certacjach pan Józef przeniósł się do swojego pokoju, a pan Witold ułożył się na kanapie w kancelarii. Jeszcze przez chwilę chichotał w poduszkę i mrucał coś pod nosem, wreszcie odwrócił się do ściany i zapadł w ciężki sen.

Aliści ledwie minęło chwil kilka, gdy drzwi, wiodące z korytarza, otworzyły się bezszelestnie i od progu wionęły ku leżącemu dwie białe postacie, w powłóczystych szatach. Bez słowa przypadły do leżącego, jedna zerwała z niego nakrycie, a druga zamachnęła się trzymanym w ręku białym ręcznikiem... i na obnażone, a jakby umyślnie podane, właściwe miejsce, spadły z głośnym plaskaniem wilgotne, ciężkie razy...

— A masz!... a masz!... A chować mi się będziesz!... Innych mi podstawiać!... Za mój wstyd! Za moją omyłkę!

Pan Witold zawył. Jak oparzony zerwał się z kanapki i skręcając się pod gradem ciosów, chwycił za brzeg burki, wyrwał ją z rąk oprawczyń i wrzeszcząc w niebogłosy, usiłował się nakryć z głową.

— Litości! — wołał — Toż drugi raz!... Któż widział!... Bezceństwo czyste!

I skoczył w drzwi sąsiedniego pokoju, zamykając je za sobą z trzaskiem. A już i pan Józef zerwał się z łóżka i biegł do drzwi, aby nieść pomoc przyjacielowi. Zderzyli się boleśnie w ciemności, ktoś się zatoczył na stojące w rogu wieszadło, obciążone dziesiątkami płaszczy i kożuchów, wieszadło pochyliło się zwolna i głucho upadło na podłogę, tarasując sobą wejście do kancelarii.

W sekundzie ciszy, jaka nastąpiła po upadku, doszedł z tamtej strony szybki tupot bosych nóg i zdławione szepty. Napastniczki uciekały w popłochu w głąb domu. Pan Józef odrzucił nogą wieszadło i runął w pogoń z przekleństwem na ustach. Słychać było jego kroki zrazu szybkie, potem coraz wolniejsze, aż wreszcie wszystko uci-chło...

Pan Witold ubierał się śpiesznie, narzucając na siebie byle jak poszczególne części garderoby. Gdy wsunął buty, zatrzymał się chwilę, nadsłuchując i ruszył z politowaniem ramionami; gdzieś w głębi domu wywinał się w aisy sopranowy, ostry głosik niewieści, nieprzerwanym sznureczkiem prawiący, dzwoniący, nie tracący chwili, choćby dla nabrania tchu... Od czasu do czasu odzywał się cichy, jakby proszący bas męski, zagłuszany momentalnie kaskadą piskliwych okrzyków, poczem sopranowy potok parł dalej, zwycięsko naprzód.

Pan Witold otrząsnął się ze zgrozą, otworzył cicho okno i rozejrzawszy się w prawo i w lewo, jedynym suszem wydostał się na dwór. Biegł alejką i spluwał co chwila z pasją, oglądając się niechętnie na biejący wśród szarości świtu dom.

— Ot — i z podatkiem poradziś, a z niewiastą ani rusz... Czort mi tu przyniósł — a tożby do rana jeszcze kilka razy wytłukły!... Biednyż on... w niewolę czystą popadł się!

Nie oglądając się więcej, wszedł wielkimi krokami na trakt i ruszył ku miasteczku.

Na wschodzie gwiazdy zbladły i złożył się świt.

²⁾ „obojętnie“ (od „bać się“) — wg. gwary wileńskiej: „strasznie“.





NA STAREM PODWÓRKU...

Jaki jest twój stosunek do

SZTUKI?



Dawniej rolę mecenasów sztuki wypełniali monarchowie i wielcy panowie...

koncercie. Bynajmniej. Nie pochwalam tak rozpowszechnionej u nas wspaniałomyślności z cudzej kieszeni. Chodzi o co inne. Mianowicie ustaliło się u nas oportunistyczne mniemanie, że sztuka jest luksusem, na który można sobie pozwalać dopiero po pokryciu wszelkich innych swych potrzeb.

Jest to niezwykle wygodny parawan dla tych czynników, któreby mogły być pociągnięte do pewnej odpowiedzialności moralnej za swą zupełną obojętność dla sztuki i brak jakiegokolwiek troskliwszego nad nią opieki. Sztuka zawsze wymagała istnienia mecenasów. Dawniej rolę tę wypełniali monarchowie i wielcy panowie. Skłaniało ich do tego wielokrotnie stwierdzone prawdziwe ich zamiłowanie do sztuki, dość zrozumiałe u jednostek od wielu pokoleń żyjących w kulturze, — no i niewątpliwie zwykła ludzka próżność. Poza tym nie zapominajmy, że mieli możliwość osobistego korzystania i konsumowania produktów popieranej przez siebie sztuki. Jeśli taki jegomość wybudował zamek lub pałac, otoczył go ogrodami i wyposażył w dzieła sztuki, obrazy, rzeźby, tkaniny i meble, to było to rzeczywiście dla użytku jego samego lub jego potomków, nie mówiąc już o tym, że rosła stąd jego chwała.

Dziś, gdy bieg dziejów zlikwidował tych mecenasów sukcesję po nich objął ogół społeczeństwa, które ponoś przez rozpowszechnienie się kultury dorosło do tej roli.

Sukcesja ta jest jednak raczej teoretyczna, a to właśnie w dużej mierze dzięki mniemaniu o zbytowości sztuki. Niech tylko ktoś spróbuje wszcząć dyskusję na ten temat, a zaraz spotka się z argumentami albo w rodzaju użytych w przytoczonej na wstępie rozmowie, albo znacznie poważniejszymi, jak to, że w takich czasach jak obecne, gdy niema szkół, szpitali, dróg, dostatecznego uzbrojenia itd., nie czas obracać zasoby publiczne na popieranie sztuki, bez której można wszak żyć. Sztukę i artystów traktuje się jako mniej lub więcej sympatyczne elementy trzeciorzędnej znaczenia i traktuje odpowiednio protekcyjnie.

Jest wielu, którzy sztukę uważają za zbitek, a nie śmiejąc zaprzeczyć wogóle jej potrzeby, odkładają kultywowanie jej do lepszych czasów i zapominają, że dążenia artystyczne są człowiekowi immanentne, że zrodziły się na najwcześniejszych szczeblach cywilizacji i towarzyszyły jej zawsze równoległe do jej rozwoju. Dopóki człowiek będzie człowiekiem i nie zamieni się w zmaterializowanego i zmechanizowanego dwunoga, dopóty potrzebować będzie sztuki, a płodna tęsknota za nią opromieniać będzie jego ciężkie chwile.

Czyż sztuka ludowa nie powstawała wśród biednych i uciemiężonych warstw, których prymitywne nawet potrzeby z pewnością nie były pokryte, a które mimo to poświęcały swój wolny od pracy czas i skromne zasoby na sztukę i zdobnictwo? Przypuszczam, że ci co dziś pobieranie sztuki odkładają do lepszych czasów, sami nie wierzą, by kiedykolwiek mogła nadejść taka chwila, że społeczeństwo skonstatuje, iż ma wszystkiego po dziurki w nosie i że nadszedł złoty wiek i odpowiedni czas na uprawianie sztuki.

Jeśli tu rozważamy te ogólne nastawienia, to nato, aby mieć możliwość przy sposobności zapytać się samych siebie, do jakiego stopnia ponosimy winę takiego stanu rzeczy. Chodzi tu przede wszystkim o ustalenie naszego stosunku do sztuki na codzień.

Dlaczego na codzień? Bo istnieje u nas bardzo wznieście nastawienie do sztuki, ale na niedzielę. Niedziela taka wypada przeciecznie u nas co parę lat, zawsze z okazji jakiegoś jubileuszu. Wiadomo, że urządzenie obchodów to nasza specjalność. Prostu wyrobiliśmy się w tym kierunku na fachowców. Przypomnijmy sobie, jaki ruch się zrobił w Polsce w roku 1932, gdy obchodziliśmy dwudziestopięciolecie śmierci Wyspiańskiego. Od najwyższych szczebli społeczeństwa aż do szaraczków, skoczyli wówczas, wszyscy jeden przez drugiego, aby windować Wyspiańskiego na tak niebotyczny piedestał, że gdyby on sam żywy się na nim znalazł, dostałby zawrotu głowy. Nie było tak przesadnych dytyrambów, na któreby się nie wysilali ci, których miesiąc przedtem Wyspiański obchodził tyle, co przeszłoroczny śnieg. Każdy wówczas pragnął się pochwalić jakąś łącznością z osobą artysty. Jeśli ktoś dostarczał mu swego czasu bułek, lub prasował spodnie — to pisał o tem wspomnienia. Niedziela minęła i Wyspiański wrócił do lamusa.

Jeśli się sięgnął do tego wspomnienia



— Kochany mistrz nam zagrał...

z przed paru lat, to broń Boże nie dlatego, hym miał potępiać objawy czci dla zmarłego artysty, ale by wypuklić kontrast między rozhuśtaniem sprawy na niedzielę, a obojętnością na codzień. Zestawienie takie stawia pod znakiem zapytania szczerokość takich uroczystości. Sądzę, że gdyby Wyspiański żył jeszcze dzisiaj, odnoszono by się doń z wyrozumiałością, a młodzi artyści po kawiarniach nazywaliby go starym dziadem. Jeśli mówi się ogólnie, że na to, aby być wielkim trzeba umrzeć, to u nas to powiedzenie szczególnie jest trafne, a stosunek do artystów za ich życia wybitnie wyczekujący.

A teraz przypatrzmy się bliżej temu naszemu stosunkowi do sztuki na codzień.

Przypomnijmy sobie choćby te liczne reprezentacyjne fortepiany, na których nikt nie gra, ciągle jeszcze w wielu domach traktowane jako meble dekoracyjne, przynależne do salonu. A cóż można powiedzieć o tych wszystkich kibicach sztuki, którzy swój nibyto pozytywny stosunek do niej wyczerpują w wieszaniu się u boku naszej fałszywej cyganerii, w popijaniu w towarzystwie artystycznych miernot i improduk-

Parę dni temu byłem w kawiarni świadkiem rozmowy kilku osób, którą pozwolę sobie przytoczyć. Akurat bawiła w Krakowie para włoskich śpiewaków o światowej renomie. Jedna z pań zapytała kogoś z naszego grona, czy wybiera się na ten koncert?

— Owszem, poszedłbym bardzo chętnie, ale bilety podobno po 12 zł. tym razem. To stanowczo za słoń!

— Przecież nie musi pan koniecznie chodzić na pierwszorzędne miejsca. Jeśli pan naprawdę lubi muzykę, to może pan także pójść na galerję.

— Tembardziej — dodał ktoś trzeci — że byłby pan tam w otoczeniu prawdziwych miłośników — raczej takich właśnie spotyka się na galerji.

— Kiedy ja, jak już idę, to chcę mieć przyjemność pod każdym względem i dlatego albo idę na dobre miejsca, albo wcale.

— No, a cóżby się panu wreszcie stało, gdyby pan nawet zapłacił te dwanaście złotych. Już nieraz widziałem, jak pan więcej przegrywał w bridża lub rumika.

— Tak, ale grając, po pierwsze miałem za te pieniądze emocje, a powtórze miałem szansę wygrania. A kupując bilety na koncert wiem z góry, że żegnam się z pieniędzmi nieodwołalnie.

— Chyba — wnieśliśmy się — iż liczyłby pan na to, że śpiewak będzie wycinał kuguty jednego po drugim, publiczność go wygwizda, a kasa będzie zwracać pieniądze; wtedy miałby pan emocje i swoje pieniądze. No ale w tym właśnie wypadku nie mógł pan się tego spodziewać i to zapewne pana odstraszyło od koncertu.

Zasmialiśmy się i zmieniliśmy temat. Muszę się przyznać, że byłem w tym wypadku nieszczerzy i żartem pokryłem to, co naprawdę pomyślałem. Jakżeż więc? — Czyż zetknięcie się z prawdziwą sztuką, jej konsumpcja — nie dają emocji? Czyż nie możemy się uważać zgóry za wygranych, jeśli wiemy, że w zamian za pieniądze doznamy wzruszenia i przyjemności w naprawdę dobrym gatunku? Ejże, chyba to pod względem ryzyka wytrzymuje konkurencję z rumikiem!

Nie chciałbym być fałszywie zrozumiany. Jeśli przytoczyłem te rozmowy, to nie dlatego, bym miał do kogoś pretensję, że nie wydał dwunastu złotych za miejsce na

tów, którzy zamiast coś tworzyć, wysiadują całymi dniami po kawiarniach i wyławodują się artystycznie li tylko mieleniem głębi, teoretyzowaniem i poniewieraniem sztuką innych, lepiej czy gorzej, ale bądź co bądź tworzących artystów.

Ustosunkowanie nasze na codzień do sztuki bywa bojaźliwe i bierne. Mam na myśli odruch dość rozpowszechniony wśród szeroki warstw, polegający na uchylaniu się od czynnego zainteresowania sztuką, jako rzeczą zbyt trudną, niedostępną, rozumiałą tylko dla speców lub pięknoduchów. „Co ja tam wiem o tem, ja się nie znam, nie mam słuchu itd.”. Coprawda dużą winę ponosi tu zmanierowana pseudo-sztuka nowoczesna, która doprawdy zbyt dostępna dla ludzi myślących normalnymi kategorjami nie była i nigdy chyba nie będzie. Wyczyni formistów czy też kocię muzyki nowoczesnych kompozytorów, jak i literackie produkty w rodzaju „Buta w butonierce” mogły się podobać tylko snobom, no i może własnym twórcom, choć to nie napewno. Cała ta produkcja odepchnęła szerokie warstwy od sztuki i zniechęciła je do niej.

Nie dajmy się tak hyle czem odstrychnąć. Jeśli brak nam zupełnie poczucia dla jakiegś gałęzi sztuki, to może jeśli trochę poszukamy, znajdziemy się ono u nas zało dla innej. Ale trzeba czynić w tym kierunku pewne wysiłki. Napewno warto. Weźmy na przykład muzykę tak uprzywilejowaną dzisiaj przez radio. Iluż ludzi słucha tej muzyki nawet z przyjemnością, ale zupełnie bezkrytycznie. Głośniki radjowe przynoszą nam powódź beznadziejnych bzdurow i śmieci muzycznych, ale też między nimi rzeczy wartościowe i piękne. Dlaczego tylu ludzi ucieka od tych ostatnich w popłochu jako od trudnych i nudnych. A może gdybyśmy słuchanie radja potraktowali bardziej samowychowawczo, gdybyśmy jednak starali się posłuchać częściej dzieł bezspornie wartościowych, może z czasem złapałibyśmy smak szlachetnej sztuki, która stałaby się powoli naszą własnością. Rozkoszy, które wówczas stanęłyby dla nas otworem, nikłby już nam nie odebrał.

W podobny sposób możnaby się czynnie ustosunkować do różnych gałęzi sztuki. Dlaczegoż mamy się zgóry skazywać na to, że zawsze będziemy profanami? Przedewszyst-

kiem starajmy się szczerze polubić prawdziwą sztukę, — to nam napewno dobrze zrobi. To też gdy mamy u siebie jakieś dzieła sztuki, lub gdy spotykamy je na swej drodze, uprawiamy w stosunku do nich jakby trwałą ich konsumpcję; przypatrujemy się im, pieśmy je okiem, szukamy w nich ciągle czegoś nowego, czego jeszcześmy nie dostrzegli. Nie traktujemy tych rzeczy inwentarzowo, ograniczając się tylko do konstataowania, że są i że w razie czego można się temi pozycjami wykazać. Oto właściwy, jak sądzę, stosunek do sztuki każdego z nas i to na codzień — a nie od święta!

Może najbardziej irytujący stosunek do sztuki, to stosunek burzący-sybaryty. Taki pan dopuszcza łaskawie, aby sztuka na niego działała, ale jedynie w kierunku podtrzymywania jego dobrego humoru i dobrego trawienia. Broń Boże nie wolno go martwić, bo on i tak ma w życiu tyle kłopotów! Taki tyk nie powiesi u siebie dobrego obrazu — bo temat jest smutny. Nie pójdzie do teatru na piękną wzruszającą tragedję lub do kina na wartościowy film bo mu się robi przykro — mimoza, delikacik jeden. Muzykę też uznaje tylko w gatunku tirlitirli, bo go to dobrze nastroja. Myślałby kto, że sztuka — ta królowa ducha ludzkiego — dla niego ma być wschodnią niewolnicą, która ma go lechać tam, gdzie mu przyjemnie, aby sobie beztrudno chichotał. Człowieku! Jeżeli artysta potrafi cię wzruszyć, szarpnąć twoimi trzewiami, wypełnionymi dobrą strawą, bo pozwolił ci na chwilę być naprawdę człowiekiem: cierpieć i czuć głębiej, niż ci to pozwala codzienne, szare, płaskie życie, które otacza nas wszystkich! Wzruszenia, które ci daje poważna sztuka, są takimi odprężeniami po codziennych twych kłopotach i zmartwieniach, jak i wesoła farsa. Przecież chodzi tu przedewszystkiem o kontrast z tą codzienną szarżyzną, gdyż ona właśnie naprawdę jest zabójczą, deprymującą i poniżającą ducha człowieka.

Wspominałem o misji mecenasowania sztuce, która przeszła dziś na szeroki ogół społeczeństwa. Otóż w związku z tem zaznaczyć wypada, że wielokrotnie za wielką zasługę wobec sztuki poczytywane bywa, gdy ktoś zbiera i gromadzi dzieła sztuki epok minionych. Oczywiście zamilowanie i

pietyzm wobec sztuki zawsze są pochwały godne. Nie dopuszczajmy jednak do powstania te pewnego nieporozumienia: jeśli dziś ktoś skupuje obrazy Matejki czy Juliusza Kossaka — nie jest mecenasem sztuki. Żadna nowa wartość z tego nie powstaje; obrazzy te zmieniają poprostu właściciela, nie więcej. Przypomina mi ta kwestja wielu naszych wielkich panów, którzy z zadowoleniem pokazują u siebie Baciarellego portrety pradziadków lub prababek. Gdy je od czasu do czasu przewieszają z jednego gwoźdźnia na drugi, robią przy tem mny mecenasów sztuki. Owszem mecenasami byli ci pradziadkowie wówczas, gdy zamawiali swe portrety u Baciarellego, ale prawnukowie — bynajmniej. Chyba że pójdą w ślady przodków i będą dawać obstalunki współczesnym artystom.

Tymczasem w stosunku do tych artystów daje się zauważyć tendencja raczej odwrotna. Nie wiadomo, skąd przyjął się zwyczaj, że właśnie artystów wolno naciągać na darmowe świadczenia dla społeczeństwa. Jak ma być loterja dobroczynna, zaraz dwie panusie z komitetu walą jak w dym od jednej pracowni malarskiej do drugiej i naciągają na ofiary „na fanty”. — „Drogi Mistrzu, jakiś obrazek, choćby małułki, przecież pana to tak mało kosztuje — parę kresek i już”. — Do wirtuoza-muzyka te same pretensje: — „Kochany Mistrz nam zagra! Przecież pan nam nie odmówił”. — Pytam się, z jakiej racji? Czy ci, którzy tak ćwierkają, nie zastanawiają się nad tem, ile i jak ciężko jeden i drugi mistrz musiał się w życiu napracować, nim zdobył tę umiejętność, że wystarczy parę kresek, by powstała nowa poważna wartość, że wystarczy się do fortepianu i poprzehierać trochę palcami, żeby było innym przyjemnie? Przecież ci ludzie żyją z tego, to jest ich zawód, że tak powiem ich towar, za który należy płacić! Czy dlatego dobra te mają być rozdawane darmo, że są niematerjalne? Myślę, że przeciwnie, właśnie jako takie, tem bardziej dobrze i bez targu powinny być wynagradzane.

Niech nasz stosunek do sztuki opiera się na poczuciu, że jest to krynica wszelkiego piękna i radości, że bez sztuki życie nie warte jest trudu, a narody, które jej nie mają, nie warte są wspomnienia.

Vita somnium breve — ars longa.

Almaviva.

Poniżej: — Jeśli idę na koncert, chcę mieć przyjemność pod każdym względem...

RYUNKI: STEFAN BRZOWSKI, KRAKÓW

Poniżej: Wiadomo, że urządzanie obchodów to nasza spetjalność...



Wiadomo, że Ameryka jest krajem drapaczy chmur, fabryk wszelakich rekordów i dziwactw milionerów... Ameryka poza tem jest jednak też krajem snobów! Nic w tem dziwnego, skoro weźmiemy pod uwagę, że na kraj ten spadł deszcz dolarów tak z dnia na dzień, bez poprzedniego przygotowania. Snobizm, zwłaszcza snobizm milionerów stara się odszukać jakiś tytuł do wielkości w przeszłych czasach. Ale skąd wziąć w trzeźwym, nowo powstałym kraju, szczerzącym się swem „self-made-maństwem” anten- tów z dalekiej i bohaterskiej przeszłości? I na to znalazł się sposób: sięgnięto do Indian, tych najdawniejszych mieszkańców U. S. A., któ- rych z jednej strony w brutalny sposób wypędzono z ich siedzib, z dru- giej zaś podniesiono do godności mitycznych nieomal przodków, czegoś w rodzaju Wikingów lub Rzymian. Poza snobizmem chętnie mówią o dawnych czynnik powodujących, że dzisiejsi Amerykanie chętnie mówią o dawnych „indjańskich” czasach i starają się wskrzesić to, co jeszcze pozostało z wieku, o którym tak pięknie pisze Fennimore Cooper lub pani Bee- cher Stowe, twórczyni słynnej powieści „Chata wuja Toma”. Tym czyn- nikiem jest poprostu potrzeba wygodnego mieszkania. Potrzeba niemiennie piękna jak potrzeba dolarów, potrzeba romantyczno-snobistycznego nastawienia owych „upper thousand” w U. S. A. jest rokrocznie urządzane święto indjańskie w Pendleton, stan Oregon. Święto to obejmuje niezwykłą ilość zabaw, po- kazów, pochodów, nie obchodzi się rzecz prosta, bez konkursów piękno- ści, tak popularnych w ojczyźnie Washingtona i Lincoln. Biorą w świe- tny udział cowboye, amerykańskie pendant naszych zawodników kreso- wych, biorą też autentyczni albo mniej autentyczni Indianie, między innymi „punktami” programu odrywają się tam „kawalerskie jazdy” stacjami karetami pocztowymi, „mail coaches”, pamiętajaciami napewno z czasów niewolnictwa albo nawet walki o wolność z W. Brytania. Święto w Pendleton jest naprawdę świętem narodowym, które przepelnia dumą Amerykanów, chcących mieć na swej ziemi odrobinę „historyczności”.

... wolność z W. Brytanią. Święto
... na swej ziemi odrobinę „historyczności”.

TRADYCJE FAR WEST'U

1: Królowa ostatniego „roundup” w Pendleton. 2: Cowboye udają się starym dylizansem na miejsce igrzysk. 3, 4, 5: Trzy fazy ujeżdżania byka, które wchodzi w skład programu „roundup”. 6: Miss Nina Minnick, Indjanka z Yakima, wybrana królową piękności na „roundup” w Pendleton. 7: Wspaniałym widowiskiem jest wyścig starych dylizansów, — „Mailcoaches”. 8: Ze wszystkich stron stanu Oregon podążają cowboye i Indjanie w dzień igrzysk w Pendleton. 9: Na „roundup” nie brak widzów, którzy chcą się dostać na igrzyska bez biletu.

ZDJĘCIA: MUNDI, AMSTERDAM



Święta Bożego Narodzenia mają u nas charakter czysto rodzinny, to też przy wigilijnym stole skupiają się wszyscy najbliżsi. Wigilijną wieczerzę poprzedza tradycyjne łamanie się opłatkiem, któremu towarzyszą życzenia wszelkiej pomyślności.

W różnych okolicach Polski z dniem tym wiążą się rozmaite zwyczaje. Dość wspomnieć podkładanie siana pod obrus dla przypomnienia betlejemskiego żłóbka, parzystą liczbę uczestników wieczerzy, pozostawianie niezajętych krzeseł dla przygodnego, zgłodniałego gościa lub duchów, które mogłyby przybyć w ten uroczysty, wigilijny wieczór.

Jak różne są zwyczaje, tak regionalnymi są także i potrawy, podawane w czasie wigilijnej wieczerzy. Niegdyś, w dawnych, dobrych czasach, uginają się stoły pod ciężarem jadła i napojów, tem więcej, że istniały wigilijne wróżby, które przepowiadały, że kto ilu potraw wigilijnych jeść nie będzie, tyle go radości w roku następnym ominie.

W zasobnych i bogatych domach musiało być co najmniej dwanaście potraw, co związane było z liczbą apostołów. Z czasem jednak ilość potraw uległa redukcji. W każdym razie u nas w Polsce na wieczerzę wigilijną składają się tylko potrawy postne, a już w żadnym domu nie może braknąć w tym dniu w jadłospisie ryb, podawanych w najrozmaitszych gatunkach i najróżnorodniej przyrządzanych.

Dawniej w Polsce zajmowano się nierzadko hodowlą ryb i prawdopodobnie konsumowano ich znacznie więcej, aniżeli dzisiaj, jak świadcza o tem rozmaite zapiski, a między innymi zachowany jadłospis z wielkopąńskiej uczty u księcia Jerzego Lubomirskiego z drugiej połowy XVII wieku. Na ucztę tej podano w postnym dniu: „szczupaków głównych 100, szczupaków podgłównych 100, łokietnych 200, półmiskowych 300, karpiów ewików 100, misnych 200, półmiskowych 500, sztokfiszu kamieni 10, minogów baryl 3, łososi gdańskich 10, flader kamieni 3”. W wielkich ilościach po-

a gdy ta ukazała się na niebie, zbierali się wszyscy wraz ze służbą i zasiadali do wieczerzy.

Na stołach możnych panów pojawiał się nierzadko łosoń, dla swych znacznych rozmiarów, a przede wszystkim dla bardzo delikatnego i smacznego mięsa nazwany „rybą królewską”. Jak wspomina ks. Kitowicz, gotowano tę rybę w winie burgundzkim, chociaż w ten sposób przyrządzona prawdopodobnie nie była lepsza od łososia, gotowanego w wodzie. Wogóle używano do ryb wiele wina, uważając, że bez niego mogłyby one zaszkodzić zdrowiu przez swoją „przyrodzoną wilgotność”. Wzmiankuje także ksiądz Kitowicz o dawnych Polakach, którzy byli silniejsi i mieli więcej ognia od jemu współczesnych, chociaż jadaliby ryby tylko z wody, a nie przyrządzane w bar-dziej wyszukany sposób.

Za czasów saskich, gdy sztuka kulinarna stała wysoko i starano się dogadzać podniebieniu, kucharze rybne obiady przyrządzali na sposób mięsnych. Jedną połowę ryb gotowali oni w kotle na smak z dodatkiem jarzyn, a w smaku tym dopiero gotowali ryby te, które miały się ukazać na półmiskach na stole. Przez to ryby te były bardzo smaczne. Niekiedy kucharze, aby lepiej popisać się znajomością sztuki kulinarnej i jej doskonałością, gotowali ryby w sosie mięsnym, a do karpia dodawali na spód słoniny, starając się czynić to tak, aby nikt tego nie zauważył. Z czasem jednak doszli oni do przekonania, że smak rybi czyni potrawy z ryb smaczniejsze, aniżeli z dodatkiem sosu mięsnego lub słoniny.

Obecnie najpospoliciej spożywaną rybą wigilijną jest karp, który najchętniej przebywa w stawach i jeziorach o dnie mulistym i porośniętym roślinami. Mięso jego jest bardzo smaczne i powszechnie lubiane. Odnacza się on wielką płodnością, samica bowiem może znieść nawet do pół miliona jaj, to też u niektórych ludów stał się on symbolem płodności, z czem związana jest naukowa nazwa „Cyprinus carpio”, wy-

wodząca się od Afrodyte, zwanej także Kypriś, bogini żyzności i płodności.

Karpie znane już były w starożytności i opisywane przez Arystotelesa. Jakkolwiek bardzo lubiane przez Greków i Rzymian, w Europie rozpowszechniły się dopiero z chwilą wprowadzenia chrześcijaństwa, gdyż zakonnicy przenosili tę rybę ze sobą, aby zapewnić sobie postną potrawę. W ten sposób karp przedostał się aż do Rosji, a nawet zawitał na drugą półkulę do Ameryki, gdzie bardzo się rozpowszechnił i znalazł wielu chętnych konsumentów.

Karp występuje w różnych rasach, z których najcenniejszą jest bawarska i śląska-polska. Znany jest więc karp „lustrzeń” o dużych rzadkich łuskach w odróżnieniu od drobnołuskiego lub nagiego karpia bezłuskiego, karp garbaty o ciele silnie skróconem i wyraźnym garbie na rzybieczie, czy też szeroko grzbietowy karp rasy czeskiej.

Karp żyjący dziko, jest narażony na wiele niebezpieczeństw. Inne drapieżne ryby, a przede wszystkim szczupaki, również żaby i wodne ptaki, jak bociany i czaple, czy wreszcie wydry pożerają masowo nie tylko ikrę, ale również i młode ryby. A i człowiek z wędką staje się ich prześladowcą i wrogiem.

W hodowli, pod opieką człowieka, może się karp swobodnie rozwijać. W szeregu różnych stawów odbywa się kolejny rozwój tej ryby. W jednych stawach karpie składają tylko ikrę, którą przenosi się następnie do innych stawów, głębszych, jako t. zw. narybek. Po miesiącu małe rybki przeprowadza się do stawu, w którym pozostają aż do zimy. Zimą zaś przepędzają w głębokim stawie z bieżącą wodą, o mulistym dnie i w tym tak zwanym „zimochowie” zagrzebane w mule pozostają aż do wiosny. W drugim roku swego życia przechodzą do stawu t. zw. kroczkowego, gdzie osiągają wagę kilkudziesięciu dekagramów. W roku trzecim „awansują”, gdyż zostają przeniesione do stawu dla dorosłych. Karpie rosną bardzo szybko i po trzech latach troskliwej opieki człowieka osiągają wagę jednego do półtora kilograma, nabierając wartości handlowej.

Karp może być przyrządzany bardzo różnorodnie. Na wigilię podaje się go smażonego lub w sosie jako karpia po polsku, czy wreszcie karpia po królewsku.

Również smaczną i delikatną w smaku, jakkolwiek rzadziej od karpia spożywaną rybą jest szczupak — drapieżca naszych wód. Żarłoczna ta ryba dzięki chwytłym zębom, zagiętym wtył, którymi uzbrojona jest jej paszcza, chwytła inne, mniejsze od siebie ryby, nie gardząc nawet własnymi braćmi. Nieraz żarłoczność swą przypłaca szczupak życiem. Gdy chwyci bowiem zdobycz zbyt dużą i nie może jej ani połknąć ani też wypuścić, gdyż własne zęby, wbite w ciało ofiary, przytrzymują ją silnie, dławiąc się ginie. Niejeden z ptaków wodnych staje się łupem szczupaka i wciągnięty przez

Dokończenie na str. 24-ej.



RYBY WIGILIINE

dawano zatem na stoły zarówno ryby słodkowodne, jak i morskie.

Niemcewicz wspomina w swych pamiętnikach, że wigilia Bożego Narodzenia była wielką uroczystością. Od świtu wychodzili domowi służy na ryby; robiono na rzece i toniach przeręby i zapuszczano niewód. Niecierpliwie oczekiwano powrotu rybaków. Na wieczerzę składały się trzy zupy: migdałowa z rodzynkami, barszcz z uszkami, grzybami i śledziami, kutja dla służących, krążki z chrzanem, karp w podlewie czyli w sosie, szczupak z szafranem, placuszki z makiem i miodem, okoń z posiekanymi jajami i oliwą.

Czekano niecierpliwie pierwszej gwiazdy,

„Karp królewski” jest klasyczną rybą wigilijną.

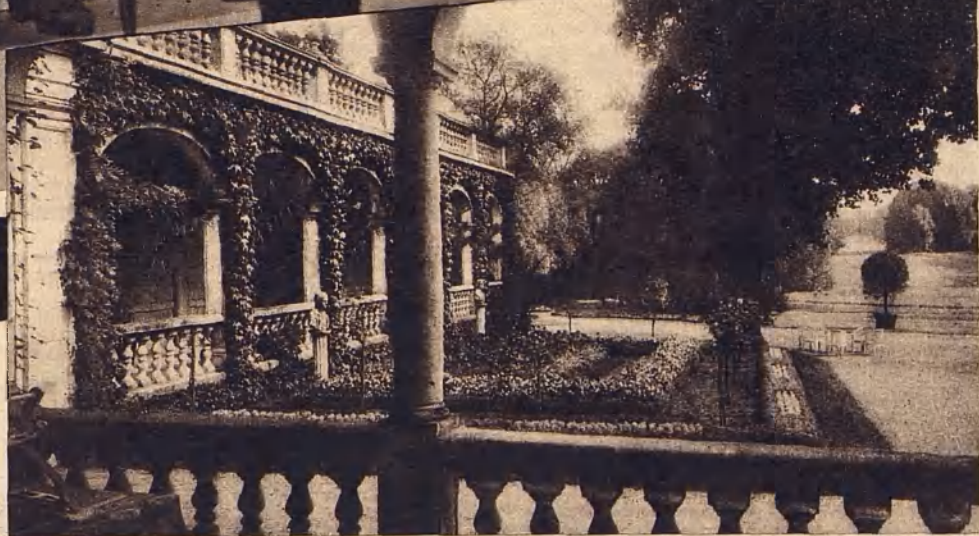
Oto różne gatunki ryb, które spotykamy w naszych rzekach i stawach.





P. Georges Vaxelaire, Konsul generalny R. P. w Brukseli (w środku) w towarzystwie czelownych artystów, którzy kradli jego sztukę „Kochanek jednego wieczoru”.
Fot. Van Parys, Bruksela.

Na prawo: Fragment parku otaczającego piękny zamek konsula Vaxelaire'a w Bioul.



Mija dwadzieścia lat. Mallet schorowany przybywa z Afryki, by się poddać operacji. Doktorowa Fournier pisze do niego list, by nie niszczył jej szczęścia, nie starał się wtargnąć w jej życie i nie chciał poznać swego syna. Mallet jednak pragnie wszystko wyjaśnić. W czasie wizyty oddaje on list, który „przyjaciółka jednego wieczoru” napisała i ta nierozważnie kładzie go do książki. Znajduje go mąż, który załamuje się pod wpływem tej tragedii: Syn, którego ukochał nad wszystko, nie jest jego synem.

W międzyczasie jednak Mallet dostaje ataku nabytej w Afryce choroby. Okazuje się, że trzeba go natychmiast operować, a ponieważ wszystko dzieje się na wsi, o sprowadzeniu chirurga z miasta nie może już być mowy. Jedną osobą może tylko uratować Malleta: Jest nią doktor Fournier. W umyśle jego walczy teraz obowiązek i nienawiść do tego człowieka, który złamał mu życie i zrujnował szczęście rodzinne. Zwiększa obowiązek. Lecz skąd wziąć asystenta? Może nim być tylko jego, a właściwie Malleta, syn, kończący w tym czasie medycynę.

Następuje kapitalny moment tej sztuki: operacja „kochanka jednego wieczoru”, przy czym asystentem tej operacji jest syn, owoc jedynej zdrady. Doktor Fournier niesłuchanie zdenerwowany, przez nieuwagę rani się

„KOCHANEK JEDNEGO WIECZORU”

PREMJERA BRUKSELSKA

Nie tylko w samej Brukseli i w Belgji, ale również w Polsce znany jest dobrze szerokiemu ogółowi konsul generalny R. P., p. Georges Vaxelaire zarówno dla swej działalności filantropijnej, jak też dla wielkiej gościnności, której dał tylkrotnie dowód oraz dla swych zamiłowań literackich. Zapalony miłośnik sceny, stworzył on w swoim pałacyku przy ulicy de L'Astronomie w Brukseli własny teatr, będący jedną z największych atrakcyj towarzyskich pięknej stolicy Belgji. Ale ambicje p. Vaxelaire'a jako człowieka o dużych zdolnościach nie poprzestają na wystawieniu takiego czy innego dzieła swego pióra na własnej scenie: woli on je zaprezentować szerszej publiczności, tej „lepszej”, która płaci za miejsce — jak to kiedyś określił Jan Kiepura, bawiąc w Brukseli.

Właśnie ostatnio wystawił największy teatr brukselski „Galeries St. Hubert”, najlepszą sztukę p. Vaxelaire'a p. t. „Kochanek jednego wieczoru” (L'Amant d'un soir).

Opowiedzmy Czytelnikom w kilku słowach jej treść.

Doktor Fournier, sława naukowa, posiada

uroczą żonę i kocha ogromnie dzieci... owdzie, gdyż własnych mieć nie może. Temperament swój wydładowuje w pracy, zaniedbując żonę, która nie chce, podobnie jak on, zrezygnować z życia towarzyskiego.

Przyjacielem pani i pana domu jest literat Mallet, kochający się beznadziejnie w pięknej pani Fournier. Postanawia on w końcu szukać zapomnienia w podróżach po Afryce i przychodzi do państwa Fournier, by się pożegnać. Tegoż wieczora żona doktora czuje się przynębiona, a mąż w dodatku dosyć niegrzecznie odmawia pójścia do teatru. Mallet tymczasem nalega, by ten ostatni jego wieczór w Europie spędzić z przyjaciółmi. Czytelnicy domyślają się reszty! Owocem tego wieczoru jest chłopiec, którego doktor Fournier uważa za swego syna.

lancetem, lecz operację szczęśliwie doprowadza do końca. Mallet jest uratowany, lecz rana doktora staje się coraz bardziej groźną. Następuje gangrena. W ostatnim okresie, zdawało się, jego życia, żona wyznaje mu, iż zdrada z Malletem była jedyną, której się dopuściła w swym życiu. Doktor Fournier przebacza jej, zwłaszcza, iż zdaje sobie sprawę, że ta jedyna zdrada, dała mu to, czego najbardziej pragnął w swym życiu — syna.

Premjera tej sztuki, w której wystąpili najbardziej znani aktorzy teatrów paryskich z Komedji Francuskiej i teatru „de la Porte St. Martin”, zgromadziła w dniu premjery śmietankę towarzystwa brukselskiego z korpusem dyplomatycznym, członkami rządu i szefami partyj politycznych na czele. hj.

ZA KULISAMI ŚWIATA WIDZIALNEGO

Niedawno mieliśmy sposobność omawiania na tych łamach niektórych zjawisk i zdarzeń, które się odbywają poza granicami świata słyszalnego. Mówiliśmy o takich dźwiękach, których nie możemy słyszeć, które są nieme dla naszych uszu, które jednak istnieją. Dzisiaj z kolei omówimy niemniej ciekawe kulisy świata widzialnego. Istnieją obrazy i barwy, których oczy nasze nie widzą, istnieje światło zasadniczo podobne do tego, które nazywamy zazwyczaj światłem, a jednak niewidzialne dla nas. Oczywiście, że człowiek prymitywny, ba, nawet człowiek osiemnastego wieku pojęcia nie miał, że istnieje świat niewidzialnych kolorów. Świat dostępny dla jego zmysłów był o wiele uboższy. Tu również nauka dziewiętnastego i dwudziestego stulecia dokonała cudu. Otworzyła i udostępniła regiony, o których dawniej ledwie można było marzyć. Wiemy teraz, że nasze zmysły są naprawdę niedoskonałe, że to, co twierdziło wielu filozofów, że świat nie ogranicza się do tego co jest dostępne dla naszych zmysłów, zostało w pełni usprawiedliwione. Ten niewidzialny świat poznajemy znowu tylko za pomocą organów naszego ciała, jedynie gdy są uzbrojone i wyposażone w cały orzęż nowoczesnej wiedzy. Niemniej jednak można skromnie powiedzieć, że i dziś jeszcze nie znamy całej rzeczywistości i wszystkich jej tajemnic.

Jeśli prawdą jest, że światło to tylko pewne niesłychanie szybkie drgania, które rozchodzą się w eterze (tajemniczy, hipotetyczny substrat wypełniający całą przestrzeń, ostatnio znajdujący się pod obstrzałem nowoczesnej fizyki) z szybkością 300.000 km na sekundę, to możemy powiedzieć, że istnieje bardzo wiele rodzajów tych drgań. Każde z nich charakteryzuje między innymi jego barwa. Mamy więc, światło żółte, zielone czerwone itd. Ilość nazw oznaczających zabarwienie jest niestety zbyt szczupła, aby określić wszystkie istniejące rodzaje drgań świetlnych. Nazwy te są ponadto bardzo niedokładne. Dlatego przyjęto inną charakterystykę różnych rodzajów drgań świetlnych, zupełnie ściśle i wyrażalną w liczbach, do czego zawsze dąży nauka. Tą charakterystyką jest długość fali, którą rozchodzą się w przestrzeni dany rodzaj drgań. Światło ultrafioletowe (1 mikromilimetr równa się jednej milionowej części milimetra), niebieskie 460, zielone 500, żółte 560, pomarańczowe 600, a czerwone wreszcie ok. 720 mikromilimetrów. Wyliczyliśmy tu najważniejsze rodzaje drgań świetlnych, całą tęczę, która powstaje, gdy światło białe, które przecież jest tylko mieszaniną światła różnobarwnych, rozszczepimy na jego składniki. W tych granicach od światła czerwonego do fioletowego mieści się cały świat widzialny dla naszych oczu. Każda barwa widzialna znajduje się musi między temi granicami, czyli musi mieć długość fali zawartą między 400 a 720 mikromilimetrami. Krótkie fale cechują fioletowy kraniec widma słonecznego, długie zaś jego brzeg czerwony.

Ten trochę teoretyczny wstęp był konieczny, aby zrozumieć co mamy na myśli, mówiąc o świetle niewidzialnym. Jasnym jest, że światło, którego długość fali jest krótsza niż 400 lub dłuższa niż 720 mikromilimetrów, będzie już dla naszych oczu niewidzialne, mimo, że jest światłem i wyka-

zuje wszelkie cechy światła widzialnego, prócz... jego widzialności! W pierwszym wypadku mówimy o promieniowaniu ultrafioletowym o coraz to krótszej fali, w drugim zaś o świetle podczerwonym, oznaczającym się falą dłuższą aniżeli widzialne światło czerwone. My tego światła nie widzimy, ale napewno istnieją stworzenia, których organy wzroku reagują także i na to światło, widząc je po „ciemku“.

Możnaby zapytać, skąd wiemy o tych kulisach świata widzialnego, skoro jest zamknięty dla naszych oczu? Otóż wiemy o świetle promieniowania podczerwonego i ultrafioletowego dużo rzeczy, gdyż promieniowanie to oddziałuje w wielu wypadkach na nasze organy zmysłowe. Tak np. promieniowanie podczerwone nie działając na nasz zmysł wzroku, działa na nasz zmysł czucia, wywołując wrażenie ciepła. Również i promieniowanie ultrafioletowe, zawarte np. w świetle słonecznym działa na nasz organizm, powodując np. czerwienienie skóry i jej opalanie. Przecież lampa kwarcowa i inne tzw. „szlucane słońca“, to przyrządy, służące do wytwarzania światła niewidzialnego, w postaci promieniowania ultrafioletowego, mającego wybitny wpływ fizjologiczny na nasz organizm.

Nie tylko zapomocą naszych organów dowiadujemy się o istnieniu światła niewidzialnego. Możemy widzieć przedmioty oświatlone światłem niewidzialnym. Ale tu wychodzi na jaw pewna sprzeczność: jakto, przecież mowa o świetle „niewidzialnym“, więc jak możemy tu coś zobaczyć? A jednak! Niektóre ciała mają tę właściwość, że gdy je w ciemności, a więc w braku jakiegokolwiek światła widzialnego, oświatlimy promieniami ultrafioletowymi, wydobywającymi się np. z lampy kwarcowej, to zachowują się tak, jakgdybyśmy je oświatlili światłem zwykłym. Stają się widoczne, mają pewne zabarwienie, mimo, że przed lampą kwarcową znajdował się filter, który starannie zatrzymywał wszelkie światło widzialne teje lampy, przepuszczając jedynie promienie ultrafioletowe, które normalnie padając na jakiś przedmiot, nie wywołują wrażenia świetlnego. Pewne więc przedmioty świecą w ciemności, tj. gdy na nie pada światło ultrafioletowe. Takie zjawisko nazywamy „fluorescencją“. Szczególnie silną fluorescencję wykazują przedmioty powleczone platynocjanidem barowym. Ale jest całe mnóstwo innych ciał, świecących w ciemności, czyli fluorujących pod wpływem światła ultrafioletowego.

Naszej fantazji nasuwają się możliwości zastosowania takiego niewidzialnego światła. Przecież to jest dosłownie „bajeczny“ sposób dekoracji ścian: można na ścianach tych wykonać farbą, zawierającą składniki czule na światło ultrafioletowe najrozmaitsze rysunki i malowidła, a w ciemności puścić na ścianę strumień niewidzialnego światła ultrafioletowego. Wtedy zajaśnieją tylko te miejsca, które zostały powleczone tym preparatem, czulym na światło ultrafioletowe. Powiedzmy jeszcze, że różne preparaty fluorują w różnych kolorach pod wpływem tego samego światła ultrafioletowego. Każdy zrozumie, jaka bogata istnieje tu skala możliwości stworzenia fantastycznych wprost dekoracji. Pomyśl ten został też już wykorzystany, nie tylko dla dekoracji pałaców wielu milionerów amerykańskich, ale też w teatrach i kinach, a także w wytwórniach filmowych.

Także i w laboratoriach badawczych oraz w przemyśle czyni się użytek z tej właściwości promieni ultrafioletowych wywołania fluorescencji, czyli świecenia w ciemności. Jest bowiem rzeczą ciekawą, że rozmaite t. zw. zanieczyszczenia fluorują zupełnie inaczej, aniżeli właściwy badany materiał. Podajmy kilka prostych przykładów: ropy naftowe różnego pochodzenia fluory-

zuja w różnych barwach zależnie od pochodzenia, amerykańska i rumuńska nafta świeci zielono, turecka a raczej kaukaska brązowo lub żółtawo. Inaczej znowu nafta z Texas lub z Kalifornii. Świeży smar olejowy do silników fluoryzuje niezwykle silnie, w miarę zaś zużycia fluorescencja jego stopniowo zanika. Olej rycynowy wydaje światło niebieskie, olej lniany znowu przyjmuje zabarwienie żółtawo-zielone, gdy jest w stanie surowym, a niebieskie, gdy jest rafinowany. Różne żywice, woski, rozpuszczalniki, chemikalia mają swoją charakterystyczną fluorescencję. Inaczej zabarwia się mąka pszeniczna, inaczej kartoflana, jeszcze inaczej mączka ryżowa. Świeże mleko otrzymuje żółte zabarwienie, nieświeże wygląda niebieskawo. Tak samo można rozpoznawać zanieczyszczenie lub stan świeżości jaj i tłuszczów, tak też bada się piwo, cukier itd. W niektórych kopalniach drogocennych minerałów np. uranowych, górników zaopatrzono w lampy wydające niewidzialne światło ultrafioletowe. Niesamowity musi być widok, gdy w zupełnie ciemnym chodniku kopalni pod wpływem światła ultrafioletowego ściany zaczynają świecić tajemniczym światłem, zdradzając w ten sposób odrazu, że kryją w sobie drogie minerały. Ile to oszczędza mozolnej ciężkiej pracy górnikom! Taksamo w przemyśle tekstylnym, papierniczym itd. duże zastosowanie znalazły lampy wysyłające niewidzialne światło ultrafioletowe. Stały się one jednym z najważniejszych środków analitycznych, przy czyniając się do wykrycia fałszowanych podpisów, do łatwiejszego odczytywania palimpsestów. Taksamo i autentyczność obrazów można w ten sposób stwierdzić.

A to wszystko dzięki temu, że w niektórych wypadkach światło ultrafioletowe potrafi się zamienić na światło o fali dłuższej, stając się przez to widzialne dla oka. Na tem właśnie polega cała fluorescencja.

Prócz tego jednak jeszcze w inny sposób zdradza światło swoją obecność. Wcześniej już zauważono, że nawet zwyczajna płyta fotograficzna przewyższa pod tym względem nasze oko, że jest wrażliwa, i to w silnym stopniu, na niewidzialne dla nas promienie podczerwone. Przedmioty pozornie ciemne działają na płytę jakgdyby były oświatlone. Zwłaszcza gdy nauczono się wyrabiać takie klisze fotograficzne, których warstwa światłoczuła znajdowała się między dwiema warstwami zawierającymi masę silnie fluorującą. Wtedy można już fotografować wprost w ciemności. Wstarczy postawić dany przedmiot, który chcemy fotografować w zasięgu promieniowania ultrafioletowego, wtedy można otrzymać normalną jego fotografię. Jakie tu możliwości otwierają się dla dowcipnych fotoamatorów!

Dotychczas mówiliśmy tylko o tem, jak dla naszych oczu przedmioty oświatlone promieniami ultrafioletowymi stają się widzialne.

Niemniej ciekawe są sprawy związane z przeciwną stroną kulisy światła widzialnego, to jest z promieniami podczerwonymi. Tu nie możemy zaprezentować naszym czytelnikom takich efektów, jak fluorescencja, ale i tu są ciekawe rzeczy. Potrzeba było długiego czasu, nim nauczono się fotografować przedmioty oświatlone promieniami podczerwonymi.

Ale wkońcu udało się stworzyć takie uczulacze, dzięki którym emulsja fotograficzna stała się wrażliwą nie tylko na wszystkie barwy światła widzialnego, ale nawet i na światło podczerwone. Otworzył się tu raj dla fotografów: światło podczerwone ma tę ciekawą cechę właściwości, że przenika znakomicie przez grube warstwy nawet zamglonego powietrza. Dzięki temu można dokonywać zdjęć nawet w czasie mgły, oczywiście niezbyt gęstej. Fotografia lotnicza rozszer-

Dokończenie na str. 24-cj.



Z TEKI MUZYCZNEJ „ASA”:

KWITNĄCE AKACJE

PIEŚŃ

SŁOWA:
MIECZYSLAW ZIELENKIEWICZ

MUZYKA:
ADAM HARASOWSKI

ALLEGRETTO GRAZIOSO.

Na-brzmia-łe wo-ni-ą ki-ście śnią w-śród-cu bia-ły sen, — Z ko-
ro-nek szy-ją li-ście Kró-lew-ski tren. — Roz-ba - wio - - nywiatr zma-ca, Po-
ry - wa biały ścieg — Na dy-wan zie-mi strą-ca pa - chną - - cy śnieg.

Roz-ba - wio - nywiatr zma-ca, Po-
ry - wa biały ścieg — Na dy-wan zie-mi strą-ca pa - chną - - cy śnieg.

WSZELKIE PRAWA AUTORSKIE ZASTRZEŻONE

LUX NA TROPIE

PIOTR FABRIZIUS

TLUM. A. S.

N O W E L A

Lux wiedział dokładnie, że z jego panem nie było coś w porządku. Odkąd mała, jasnowłosa pani, która przed odejściem dawała mu zawsze kawałek cukru, już więcej nie przyszła, pan jego zmienił się zupełnie. Biegał tam i zpowrotem, bębnił palcami po stole i Lux byłby się stał nerwowym psem, gdyby już nie znał tego zachowania się swego pana. To się zdarzało mniej więcej co dwa miesiące.

Po dwóch dniach pies był zdania, że już dosyć tego smutku po utraconej kobiecie. Wsunął się cicho do pokoju, przyniósł kaganiec, położył swój pysk na wyciągniętej dłoni swego pana i spojrzał na niego wiernie i serdecznie.

— Tak — rzekł Henryk Rapp — masz zupełną rację, chodźmy na spacer. Kobiety nie są tego warte...

Lux wiedział, że kryzys minął. Henryk mimo, iż doszedł do wniosku, jak lekceważenia godne są kobiety, nałożył wesoło na barki kapelusza. Pan i pies wyszli na miasto w oczekiwaniu jakiejś przygody.

Zdarzyła się ona najpierw Luxowi. Z głośnym szczekaniem zameldował znalezienie rękawiczki.

Była to damska skórkowa rękawiczka. Wydawała lekki, miły zapach.

Właścicielka rękawiczki musiała mieć małe ręce: to było pewne. Pozatem mogła być młodą lub starą, ładną lub brzydką, blondynką, ciemną z piegami lub z zadartym nosem. Henryk pobudzony zapachem rękawiczki postanowił sobie wyobrazić, że jest młodą, zdrową, ładną i chciał rękawiczkę schować.

Ale Lux głośnym szczekaniem upominał się o znaleźne. To Henryka naprowadziło na pewien pomysł. — Stój! — zawołał — naco ja ciebie kazałem przez dwa miesiące tresować na psa policyjnego? — Potrzymał mu przed nosem rękawiczkę i rozkazał: Szukaj! pokaż, co umiesz!

Gdy Lux obrał właściwy kierunek, puścił się jak strzała. Henrykowi trudno było nadążyć za nim. Pies z łbem spuszczonego ku ziemi prowadził go daleko przez różne ulice i zatrzymał się przed eleganckim domem.

— Nieźle — otaksował Henryk i podążył za psem na czwarte piętro, gdzie zwierzę, szczekając, zatrzymało się przed drzwiami.

„Joanna von Diederlein“ — czytał Henryk napis na drzwiach — mam szczęście! Pochodzi z dobrego domu!

Zadzwonił. Dopiero po paru minutach otworzył pan w średnim wieku, o dystyngowanym wyglądzie, chociaż miał na sobie tylko piżamę. Czy był to ojciec, brat, czy też mąż?

— Czy jest pani w domu? — zapytał dyplomatycznie Henryk.

— Jaka pani?

— Proszę wybaczyć, mam bardzo słabą pamięć. Chwilowo zapomniałem nazwiska tej pani.

Twarz pana w piżamie stała się czerwona. — Odkąd umarła moja żona, od sześciu lat nie mieszka tu wogóle żadna pani, czy zrozumiano? I jeżeli pan w tej chwili się stąd nie wyniesie, przeżyje pan coś, co pomimo złej pamięci długo pamiętać będzie, poczem przekreśli kluczem w zamku.

Henryk spojrzał zdumiony na swego psa, który z głową przechyloną na bok i podniesioną łapą patrzył na niego wyczekująco.

— No, ale to się zupełnie nie udało! — zamruczał. — Zdaje się, że nadaremnie wydałem pieniądze na tresurę.

Lux nie mógł znieść tego zarzutu. Na uli-

cy zaczął znowu węszyć ze znajomością rzeczy: oddalił się parę kroków i obrócił się w oczekiwaniu na swego pana. Zrozumiał on, że owa pani wyszła od Diederleina i że pewnie poszła do domu. Udali się więc na dalsze poszukiwania.

Pies zaprowadził swego pana do modnego czynszowego domu, przed drzwiami mieszkania z napisem: „Józef Tenner“.

„Tutaj więc mieszka ona“ — myślał Henryk i odważnie zapukał.

Drzwi otworzono ostrożnie. W szparze ukazał się młody człowiek, nieśmiało wyglądający, w spodniach, w koszuli smokingowej, ale bez kołnierzyka i krawatki.

— Nie mam ani grosza w domu — zaręczał młodzieniec.

— Nie jestem żadnym inkasentem — powiedział dobroliwie Henryk — przyszedłem z Urzędu Statystycznego. — Wyciągnął papier i ołówek. — Czy mógłby mi pan objaśnić, kto w tem mieszkaniu: a) istotnie zamieszkuje, b) tymczasowo przebywa i to po pierwsze osoby rodzaju męskiego i po drugie osoby rodzaju żeńskiego, ich nazwiska i imiona, zatrudnienie i wiek.

— Z największą przyjemnością — odrzekł młodzieniec — nazywam się Józef Tenner, jestem kawalerem, lat 28 i zamieszkuję od dwóch lat całkiem sam to mieszkanie.

Henryk ostupiał.

— No, Lux — zwrócił się do psa, gdy drzwi za panem Tennerem się zamknęły — co masz teraz na swoje usprawiedliwienie?

— Hau, hau — odszczeknął pies i niecierpliwie pociągnął za smycz.

Henryk doszedł do przekonania, że właścicielka rękawiczki opuściła też pana Tennera i udała się do innego domu, przed którym pies przystanął.

Pokojówka otworzyła drzwi. Henryk zapytał o panią domu.

— Panna Karolina właśnie wróciła — powiedziała dziewczyna i poprowadziła go do eleganckiego salonu, gdzie siedemdziesięcioletnia matrona stała koło stołu.

Drżąc, opierając się na łasce, przyglądała się nieznajomemu gościowi.

— Jestem panna Karolina — powiedziała — czem mogę służyć?

Henryk uważał za najlepsze przyznać się, że znalazł damską rękawiczkę i z ciekawo-

ści kazał się poprowadzić psu do jej właścicielki.

Panna Karolina obejrzała „corpus delicti“.

— Do mnie ona nie należy — oświadczyła — ale dopiero co do domu powróciłam, może mój siostrzeniec miał odwiedziny, zaraz się go o to zapytam.

Pokój siostrzeńca był zamknięty. Dochodził stamtąd jakiś hałas.

— Proszę szanowną panią — błagał Henryk — ja nie chcę nikomu robić nieprzyjemności.

Ale już było zapóźno. Siostrzeniec wetknął głowę przez drzwi i zaręczał rozczochrany i w szlafroku, że nic nie wie o rękawiczce.

Henryk przeprosił i tak szybko ulotnił się z pokoju, że panna Karolina troskliwie przerachowała srebro, które w salonie stało za gablotką.

Lux jednak nie dał za wygraną i w imię raz powziętego obowiązku biegł dalej za tropem. Na rogach ulic kręcił się trochę bezradnie, patrzył na swego pana, jakby szukając w nim pomocy, potem, gdy odnalazł właściwy kierunek, szczekał radośnie. Henryk postępował za nim ze zwrastającym zaciekawieniem.

Tym razem musiał iść dosyć daleko, bo aż na przedmieście. Lux przystanął szcękając przed jednopiętrowym domem. Młoda, zaledwie dwudziestoletnia dziewczyna otworzyła drzwi. Lux rzucił się radośnie ku niej. Henryk spojrzał na nią: była to ładna dziewczyna o świeżych, zaróżowionych policzkach. Henryk pokazał rękawiczkę:

— Mam nadzieję, że należy do pani?

Dziewczyna zaczerwieniła się z radości. — Tak — powiedziała — i wyciągnęła po nią rękę.

— Ciężki dzień miałem dzisiaj! — mówił dalej Henryk.

— O tak — rzekła dziewczyna i pogłaskała Luxa, który przyjmował te pieszczoty jako zupełnie mu należne za pełne trudu obowiązki, które dobrze wykonał.

— Chciałam właśnie poszukać tej rękawiczki i pewnie z trudem byłabym ją odnalazła, gdyż już doprawdy nie wiem, gdzie dzisiaj byłam. Pomagam mej matce w przedsiębiorstwie i zanosłam białiznę trzem panom. Moja matka posiada chemiczną pralnię.



Ofiarujemy urodę

Czy można urodę zniszczyć? Tak! Mieści się ona bowiem w każdym flaconie wody do twarzy Scherk. Woda do twarzy Scherk nie stwarza złudnych pozorów piękności, lecz wywołuje nawskroś zdrowy,

czysty, gładki wygląd skóry. Dociera do głębi porów, usuwa pryszcze i wszelkie nieczystości cery; przyspiesza odżywczy obieg krwi i wzmacnia tkanki. — Flakon wody do twarzy Scherk pod drzewkiem wigilijnym — to podarek radosny na szereg tygodni

Scherk
Face
Lotion

Ceny flakonów: zł. 2, 3.50, 6 i 12

Woda do twarzy Scherk

Dokończenie ze str. 18-tej.

niego pod wodę znajduje w jej głębi śmierć. Ryba ta może osiągnąć wielkość nawet dwóch metrów o wadze 35 kilogramów. w hodowli jednak trzyma się osobniki mniejsze. Nieraz hodowcy wykorzystują szczupaki w gospodarstwach karpiowych do usuwania mniejszych rybek, które się przypadkowo do hodowli dostały i zabierają pożywienie, przeznaczone dla łuczenin karpi.

Szlachetnym i ulubionym gatunkiem ryby jest sandacz, który dzięki wydłużonej paszocy oraz zębom przypomina szczupaka. Na szarem, wydłużonym ciele rysują się wyraźnie niebieskie smugi i odcinają czerwone płetwy. W Polsce sandacze żyją w Wiśle oraz w jej dopływach. W dużych, czystych i głębokich stawach hoduje się je jako ryby użytkowe. Hodowla jednak jest bardzo trudna. Do stołu podaje się je w różnej formie: z jajami, w galarecie lub w sosie majonezowym.

Bliski krewniak sandacza — okoń, znany też okuniek, w dawniejszych czasach

ŚNIEG TATRZAŃSKI

KREM PUDER



cieszył się uznaniem dla smacznego i tłustego mięsa. Ponieważ jednak jest bardzo ościsty, dzisiaj został zastąpiony przez innych przedstawicieli rybiego świata.

Gatunki wymienionych ryb nie wyczerpują całkowicie listy podawanych w czasie wigilijnej wieczerzy. Gdzieś tam pojawiają się na stołach liny, leszcze, brzany, karasie i wiele jeszcze innych, a często zastępują je nawet i skromne śledzie smażone, opiekane lub marynowane, czy wreszcie jakieś ryby wędzone.

Zarówno więc rzeki nasze, stawy i jeziora, jak też i morze dostarczają na wigilię mnóstwo swoich mieszkańców.

Z. M.

Dokończenie ze str. 20-tej.

rzyła znacznie zakres jej zastosowania: słynny lotnik stratosferyczny Stevens, który niedawno bawił w Polsce, zdołał dokonać z wysokości 22.000 metrów zdjęć, na których pierwszy raz w dziejach ludzkości widać było kulisty kształt ziemi. Jedynie bowiem zakrzywienie globu ziemskiego stanowiło naturalną granicę rozległości tego zdjęcia.

Oczywiście, że przy fotografii podczerwonej musi się używać filtra czerwonego lub nawet czarnego, nieprzepuszczającego zwykłego światła. Takie zdjęcia podczas mgły mają duże znaczenie dla okrętów, które narażone są na katastrofy z powodu zbyt małej widzialności. Ważne jest to także dla astronomów, szczególnie przy zdejmowaniu gwiazd o małej jasności. Do słynnego laboratorjum na Górze Wilsona w Ameryce przywozi się samolotem co kilka dni klisze czułe na światło podczerwone w specjalnym opakowaniu, zawierającym t. zw. „suchy lód”. Klisze te nie mogą bowiem zbyt długo leżeć i trzymają się najlepiej w niskiej temperaturze.

Promieniowanie podczerwone nie brak też w świetle słonecznym, nie brak go również w oświetleniu sztucznym. Wystarczy przecież ogrzać jakiś przedmiot do 400 stopni, aby zaczął sam „świecić” światłem niewidzialnym, podczerwonym. W ten sposób np. sfotografowano po ciemku rozgrzane żelazko w jego własnym świetle, oczywiście zapomocą kliszy czułej na podczerwień i przy użyciu odpowiedniego filtra. Ponieważ skóra ludzka przepuszcza promienie podczerwone, tak samo zresztą jak pancerz chitynowy u owadów, przeto jasnym jest, że można sfotografować sieć naczynek krwionośnych i użyć tego zdjęcia do celów dajagnostycznych.

Ciekawem jest, że zielen roślinna wypada na fotografii podczerwonej zupełnie biało. W ten sposób np. można w lecie otrzymać na fotografii krajobraz zupełnie zimowy. Jest to jeden z dobrych tricków kinematograficznych. Aktorów ubiera się np. w futra na tle drzew lub trawnika zielonego i fotografuje z odpowiednim filtrem, przepuszczającym tylko podczerwień. Zielone rośliny wyglądają przytem inaczej niż te, w których krążą soki. Możnaść „zdemaskowania” zieleni roślinnej zapomocą fotografii podczerwonej wyzyskuje się oczywiście dla celów wojskowych. Można w ten sposób zdemaskować ważne obiekty wojskowe, które dla celów ochrony zamaskowano zielonemi krzakami lub liśćmi. Jeszcze inny szczegół wyzyskuje się przy zdjęciach podczerwonych: oto bezchmurne błękitne niebo wypada na takim zdjęciu zupełnie czarno. W ten sposób można za dnia otrzymać rzekomo nocne zdjęcia kinematograficzne, oczywiście teren musi być pozbawiony wszelkiej zieleni roślinnej. Najpowszechniej jednak chyba korzystają będą fotografowie ze zwykłych zdjęć podczerwonych, tj. przy użyciu odpowiedniego filtra i klisz czułych na podczerwień.

Gdy zagłębimy za kulisy naszego zwykłego, kolorowego światła, ujawnia się ciekawe szczegóły. Wchodzimy w świat bajki, gdzie zielen jest biała, czerń świecąca, a niebo nawet w dzień czarne! Inż. J. A.

VITAHORM

ANTIBA



ODMŁADZA

VITAHORM — to olejek witaminowo-hormonowy do wcierania w skórę twarzy i szyi, zawierający witaminę A i hormon płciowy żeński oestron. Skuteczność działania Vitahormu zapewnia specjalne opakowanie w postaci ampulek szklanych hermetycznie zatapianych. Vitahorm usuwa radykalnie

zmarszczki i działa odmładzająco niezależnie od rodzaju skóry.

Vitahorm jest do nabycia w sklepach L. Spiess i Syn, w perfumeriach i składach aptecznych. Każda z Pań może otrzymać szczegółową broszurkę o „Vitahormie”, jeśli wyśle pocztówkę p. a. „Antiba” dział A. Warszawa, Daniłowiczowska 16

ODŚWIEŻA i ODŻYWIA SKÓRĘ



Grace Moore śpiewa...

WYWIAD Z GWIAZDĄ ★

W

arszawa umie fetować swoich gości. Mogą coś o tem powiedzieć prześliczne Japonczki z Takarazuka. Wzruszona do głębi przyjęciem opuszczała Warszawę czarująca gwiazda opery i filmu. Grace Moore. Oto jej słowa na ten temat:

— Tak mnie tu w Warszawie gościnnie i gorąco przyjmowano, że zapragnęłam się czemś odwdziżyć za słynną staropolską gościnność. Dlatego też wyraziłam zgodę na propozycję, którą odrzuciłabym z pewnością w innym wypadku. Ale wam, Polakom, nie mogłam niczego odmówić — dodała z tajemniczym uśmieszkiem, coraz bardziej mnie intrygując

Wreszcie, chwilę jeszcze ociągając się, rzekła:

— Zostałam polską „zegarynką”... Nagrałam płyty, mówiące godziny i minuty...

— Jakto? Po polsku?

— Nie, po angielsku.

— Więc dlaczego mianuje się pani „polską zegarynką”?

— Bo mówiłam dla „speaking-clock” („mówiącego zegara”) polskiej produkcji.

— Nie wiedziałam nawet, że taki istnieje. Aparat, zainstalowany w Warszawie i kilku innych miastach polskich, informujący telefonicznie, która godzina, jest wyrobu szwedzkiego, a jedynie tekst nagrany został po polsku.

— Więc ja pana poinformuję, że technicy polscy skonstruowali podobny aparat i chcą go sprzedawać zagranicą. Model takiego aparatu zostanie wystawiony przez Państwowy Instytut Telekomunikacyjny na wystawie nowojorskiej w pawilonie polskim. Ponieważ chodzi o pozyskanie rynku amerykańskiego, trzeba było nagrać godziny i minuty po angielsku. Oddawna już poszukiwano kogoś ze specjalnie fonogenicznym głosem i dobrą wymową. Gdy się dowiedziano, że ja przybywam do Polski, postanowiono zwrócić się do mnie z prośbą o nagranie tych płyt, zwłaszcza, że mam podobno głos idealnie fonogeniczny. Nie chcę się chwalić, ale tak mi powiedziano w Hollywood. Nad moim głosem dokonywano w Ameryce specjalnych studiów. Było mi bardzo miło spełnić prośbę Państwowego Instytutu Telekomunikacyjnego. Uczyniłam to w dzień mego odjazdu, oczywiście już po koncercie, bo przed koncertem mam zwyczaj przez cały dzień niemal zupełnie się nie odzywać, by nie nadwyreżać gardła. Nagrałam więc 12 „godzin” i 60 „minut”. Cała „operacja” nie trwała nawet godziny, bo poszczególne kombinacje dadzą się uzyskać przez odpowiednie połączenie tekstów.

Dodam od siebie, że Grace Moore nie chciała przyjąć za to żadnego honorarium, pragnąc, by to był właśnie ów rewanż za życzliwe i entuzjastyczne przyjęcie. Powiedziała mi też:

— Mojem drugim miłym wspomnieniem z pobytu w Warszawie będzie raut, jaki wydał na moją cześć nasz czarujący ambasador Drexel Biddle ze swą ujmującą małżonką. Był to przecież mój wieczór urodzinowy. Od ośmiu lat spędzałam go jednakowo. Występ w „Metropolitan Opera House”, a potem huczny festyn urodzinowy, jaki wydawałam w największej sali Nowego Jorku. Tym razem odstąpiłam mój wieczór urodzinowy Warszawie. Zgodnie z tradycją — byłam na posterunku artystycznym — śpiewałam. O tem wiedziałam zgóry. I choć nie u siebie, ale zato w Polsce, dla której oddawna żywiłam wiele sympatii; mam też moc serdecznych przyjaciół wśród Polaków amerykańskich. Myślałam sobie tylko, co się stanie z uroczystością urodzinową. Przykroby mi było obejść się bez niej. Mogłabym, oczywiście też wynająć jakąś wielką salę — ale kogo bym zaprosiła? Więc jestem niezmiernie wdzięczna ambasadorostwu Biddle, że wyprawili mi takie wspaniałe urodziny. I powiem szczerze, że na żadnych z nich nie była jeszcze taka „brillante assistance”. Bo i rząd i dyplomacja i arystokracja. Co chwila przedstawiano mi: książę... hrabina... A każdy mówił mi naszym amerykańskim zwyczajem: „Many happy returns”. Jednej rzeczy nie było. Według naszego zwyczaju podaje się zawsze solenizantowi lub solenizantce tort, a na nim tyle zapalonych świeczek, ile się kończy lat w tym właśnie dniu. Dla solenizantek bywa to niekiedy kłopotliwe. Dla mnie nie byłoby. Ale nie chciało mnie — zapewne przez dyskrecję — zapytywać, ile świeczek postawić. Ja zaś mogę panu powiedzieć, że skończyłam tego wieczoru tyle lat, ile państw było reprezentowanych na tym raucie. Wiem zaś ile było, bo mi powiedziano. Teraz niech pan obliczy...

— To nieważne, proszę pani, bo każda kobieta, jak wiadomo, ma tyle lat, na ile wygląda...

— O, to mojem zdaniem, niezbyt pewne kryterjum. Zależy wiele od tego, jak sobie kobieta „zrobi” twarz, jak się ubierze, czy dba o figurę i jaki prowadzi tryb życia. Np. o mnie może pan mieć zupełnie błędne pojęcie. Gdy mnie pan ujrzał po raz pierwszy zaraz po wyjściu z wagonu, byłam jeszcze w charakterystacji filmowej, bo pociąg warszawski odjeżdżał z Paryża akurat 20 minut po momencie, gdy ukończyłam moje dwumiesięczne zdjęcia do filmu „Louise”. Nie miałam czasu nawet na rozcharakteryzowanie się. Ubieram się nie według mody, lecz wedle upodobania. Zresztą, nie bardziej kapryśnego, zmiennego i zawodnego, niż moda. Mój film „Louise” rozgrywa się w r. 1885. Raz zrobiłam taki „kawal”: Poszłam na dancing do Maxime’a w mojej toalecie filmowej z przed 50 lat i... bynajmniej się nie wyróżniałam. Najnowsze kreacje były niemal identyczne. Wreszcie — nigdy nie dbam o „linię”. Jem, „ile się zmieści”, a jestem wielką smakoszką. Czy pan wie, że wkrótce ukażą się moja książka... kucharska? Będzie tam moc przepisów mojego pomysłu. Polecam, zwłaszcza, kurczęta po hiszpańsku, które robię specjalnie dla mojego męża Hiszpana, a przepis mam od jego matki. Jestem z nim szczęśliwa od 7 lat. Nie zamierzam nigdy się rozwodzić. Słowem, jak pan widzi, nie mam w sobie nic z typowej amerykańskiej „gwiazdy” filmowej... Chcę bowiem zawsze być tylko... sobą...

H.

10 minut GIMNASTYKI PORANNEJ

Gdybym zapytała Czytelniczki Asa, nawet te, które uprawiają z zapalem codzienną gimnastykę poranną, czy znają funkcje swego organizmu, usłyszałabym co najmniej 50% odpowiedzi przeczących...

A tymczasem kto chce mieć organizm zdrowy i funkcjonujący bez zarzutu całe życie, musi poznać tę „maszynę”, aby sprawować nad nią czujną i stałą kontrolę, która dopiero zapewni jej trwałość. Nie wystarczą bezmyślne ćwiczenia gimnastyczne czy uprawianie sportów, trzeba znać wszystkie mięśnie i organa, trzeba rozróżnić ich czynności i opanowywać funkcje mięśni, uniezależniając je od innych.

Tymczasem zajmmy się mięśniami, umieszczonymi poniżej pleców, w okolicy krzyżów. Są one bardzo ważne ze względu na linję brzucha i miednicę. Zarówno sam kręgosłup jak i jego kręgi w tym miejscu i otaczające je mięśnie, są w codziennym życiu mało „używane”. Prowadzimy przecież przeważnie tryb życia siedzący i stojący, przy którym zaniedbanie krzyżów są na porządku dziennym a dolegliwości z tego wynikające, zdarzają się bardzo często.

Podajemy cykl ćwiczeń, które mają na celu „rozruszanie” tej części ciała.

Aby uczynić kręgi krzyżowe jak najbardziej elastycznymi i zdolne do wykonywania poruszeń w różne strony, trzeba, aby przede wszystkim skóra tej części ciała była podatna, miękka i giętka. W tym celu stosujemy masaż. Zginamy się do niego nieco ku tyłowi i dwoma palcami obu rąk staramy się ujmować skórę drobnymi uchwytami, jak gdyby odrywając ją od kości. Nie trzeba się przytem zniechęcać nieudaleni pierwszemi próbami, bo masaż ten nie należy bynajmniej do rzeczy niemożliwych a jest bardzo skuteczny.

Ćwiczenie 1: Kłękamy na podłodze i opieramy się na niej dłońmi. W tej pozycji staramy się opuszczać ku dołowi krzyż i podnosimy je z powrotem do poziomu. Powtórzyć to kilkakrotnie a dla lepszej kontroli można sobie położyć książkę na krzyżach.

Ćwiczenie 2: Stanąc w szerokim rozkroku z ramionami skrzyżowanymi na piersiach. W tej pozycji pochylać się zwolna ku przodowi, ale nie jednym rzutem, lecz drobnymi skłonami, coraz niżej i niżej. Po dłuższym czasie uprawiania tego ćwiczenia, dochodzi się do takiej wprawy, że łokcie dotykają podłogi.

Ćwiczenie 3: W pozycji leżącej z ramionami wzdłuż ciała, podnosimy cały korpus i równocześnie jedną nogę, dążąc do tego, aby końce palców rąk dotykały palców podniesionej nogi. Następnym ruchem wracamy do pozycji leżącej i zaraz podnosimy się znowu, unosząc drugą nogę. Powtarzamy to ćwiczenie kilka razy, nie odpoczywając w międzyczasie, lecz ruchem wahadłowym unosząc się i opadając.

Ćwiczenie 4: W pozycji leżącej ze skurczonymi nogami i ramionami wyciągniętymi poza głowę, sprawdzamy pozycję baczając, aby krzyże były jakby przylepione do podłogi. Ćwiczenie polega na powolnym wyprostowaniu nóg i kurczeniu ich z powrotem, przyczem krzyże nie mogą ani na chwilę odstawać od podłogi. Aby to ćwiczenie tem lepiej wykonać, dobrze jest zamknąć oczy i skoncentrować całą uwagę na dokładnym wykonaniu.

Ćwiczenie 5: Stajemy w rozkroku i w tej pozycji przechylamy się w tył, poczem zwolna uginamy nieco kolana. Następnie kolejno obie ręce staramy się zbliżyć ku łydce danej nogi. Nie wolno jednak wychylić się z zasadniczego skłonu w tył, bo przy skłonie w bok cała wartość ćwiczenia zostałaby przekreślona. Po pięciokrotnym przygięciu się ku prawej i lewej nodze, przechodzimy odrazu do następnego ćwiczenia, które stanowi wyrównanie pracy mięśni omawianego ćwiczenia.

Ćwiczenie 6: Stając w pozycji zasadniczej z wyprostowanymi w kolanach nogami, pochylamy się wprzód i opuszczamy ramiona, aby dotknęły ziemi. Po 10-krotnym przeciwieciu, próbujemy nachylić się jeszcze więcej, aby dojść przy dużej wprawie do możliwości dotknięcia czołem kolan, nachylając głowę ku nim poprzez ramiona. Dla odpoczynku należy się położyć na plecach i głęboko wciągać powietrze przez nos, wydychając je ustami.

Vera.

1 Ćwiczenia mięśni i kręgów krzyżowych, zakreślonych kołem.

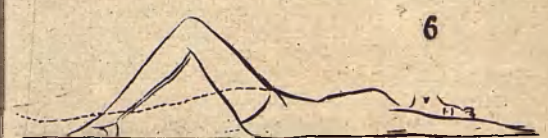
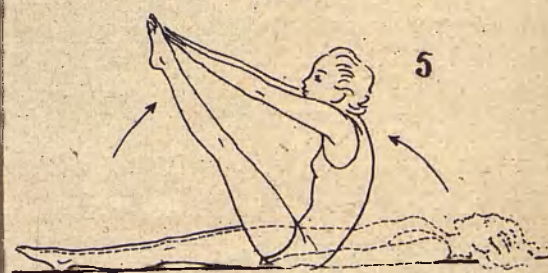
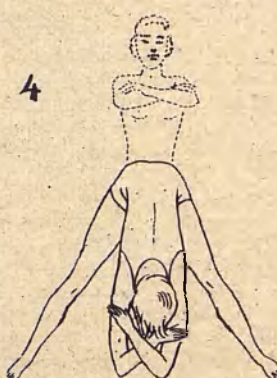
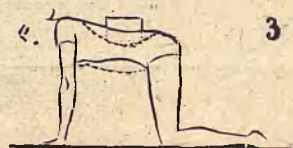
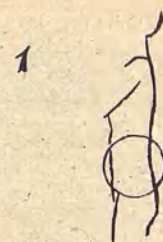
2 Masaż skóry na krzyżach.

3 Wyginanie i odprężanie kręgosłupa.

4 Skłon w przód z szerokiego rozkroku.

5 Ćwiczenia z pozycji leżącej polegające na wznoszeniu nóg.

6 Zginanie i wyprostowywanie nóg z pozycji leżącej z krzyżem przylegającym do podłogi.



Od lewej: Oto ważne pozycje w gimnastyce mającej za zadanie uelastyczenie pleców — skłon w tył, zgięcie kolan i nachylenie się tyłem w lewo i prawo, oraz (na drugim zdjęciu) skłon w przód przy wyprostowanych kolanach i opuszczonych ku podłodze ramionach.

Wiek XX, wiek szalonych przemian w formach życia jednostek i narodów — zastał człowieka... w bardzo niewygodnym obuwu. Nagniotki na palcach nóg, męczące mnóstwo osób, to najwymowniejsze świadectwo ciasnego obuwia, w którym wszedł nowoczesny człowiek w życie.

Nie dziwnego, że powojenne lata zażądały rewizji pojęć także i w stosunku do obuwia, zarówno u mężczyzn, jak i kobiet. Mocne słowa padły z ust powag lekarskich, z katedr uniwersyteckich, z rezolucyj zjazdów naukowych. Wśród wielu innych wojen, jakie pozostaną w historii wieku XX-go, znajdzie się kiedyś i wojna, jaką stoczono z przesadami mody.

I wydawało się, że zwycięstwo odniesione na całej linii przetrwa lata i pokolenia. Tymczasem zaledwie nacieszył się człowiek jego błogosławionymi skutkami, jak wystąpiły oznaki, z których snuć można wróżby jak najmniej pożądane, dla nie mogących się obejść bez obuwia, nóg

Stało się! Kobieta dała się skusić obietnicom czegoś piękniejszego od noszonych trzewików i sympatyzuje w pewnej chwili z karykaturalnie wyglądającymi bucikami ostatnich lat o grubych, wysokich podeszwach drewnianych, łączących się bezpośrednio z obcasem kapryśną aerodynamiczną linią, lub przedłużanych pod podbiciem nogi aż po wysoki obcas, tworząc jednolitą podstawę pod całym normalnym bucikiem.

Dlaczego zwycięstwo takiego koturnowego bucika przychodzi całkiem łatwo? Gdy zadamy sobie to pytanie, odpowiedzieć musimy tylko jednym argumentem. Każda nowość, podyktowana przez wielkie magazyny mód, przyjdzie się szybko, bo tempo życia przesuwając przed oczyma kobiet coraz inne nowości, przyzwyczajają je do przyjmowania wszelkich nowości.

Czy noga na koturnie jest nowością? De facto wielką nowością nie jest, gdyż pamiętamy teatr grecki z jego aktorami, „podwyższonymi” dostojnie przez owe koturny. Ale też w teatrze greckim grywali tylko mężczyźni, a zatem koturny byłyby dziś dla kobiet nowością. Wprawdzie ludowy strój holenderski i bretański posiada też coś



Najnowsze modele bucików sportowych.
Fot. d'Or — Paryż.



Pantofelek balowy ze złoczonej skóry o niezwykłym oryginalnym fasonie.

Fot. d'Or — Paryż.

najmniej zawstydzony w zestawieniu z intruzem, powołującym się na tak dalekie koligacje i tak odległe podobieństwa. Ten intruz ma formy zapożyczone wprost z klasycznego antyku a wykończenie w szczegółach przywodzi najpiękniejsze cacka, jakimi na przestrzeni wieków bywały pantofelki pięknych kobiet. Ale gdy tamte, oglądane dziś przez nas w witrzynach muzealnych, budzą już tylko uśmiech politowania, to nowe obuwie ma nowoczesny luksusowy wygląd i artystyczne wykończenie szczegółów.

Delikatne pastelowe odcienie kolorów skóry łączy się śmiało ze sobą. Wysokie podeszwy dają duże płaszczyzny do obłożenia skórą, zestawianą ładnymi liniami, powtarzających się ornamentów. Skórzane rzemyki grają kolorami na bosoj nodze, kontrastując z karnacją ciała i lakierem paznokci. Złota i srebrna skórka zyskała znów wielkie zastosowanie.

Męskie trzewiki jeszcze ocalały z tego pogromu, ale czy na długo?

Przecież od sandałów, ciężem, trepek i skórzni, dzieli je przepaść wieków, w ciągu których ulegały najrozmaitszym przeobrażeniom. Wieki średnie są dowodem, że nie tylko kobiety lubują się w zmiennych formach obuwia. Ileż odmian obuwia wytworzyło życie rycerstwa, ile powstało po dworach królewskich! Jaka przepaść dzieli gotyckie wydłużone „nosy” od płtych skórzanych trzewików XVI wieku, szerokich w palcach, krótkich, wykonywanych pół na pół z dwóch kolorów skóry czy materiału.

Trzeba było ingerencji Filipa IV, aby harmonować długość obuwia. Wydany zakaz określał, że szlachta może nosić buty 2-stopowej długości (około 60 cm), mieszczaństwo 1-stopowej a lud i pospólstwo o 6 cali (15 cm) dłuższe od normalnej wielkości.

A potem przyszły rokokowe lakierki, uciśkające stopę, by się wydawała jak najzgrabniejszą. A czy wygodne były balowe lakierki przedwojenne?

Zmiany na lepsze sprowokował sport: narci, łyżwy, tenis, konna jazda, wymagają bezwzględnej swobody stóp. I tej swobody, warunkującej zdrowie nogi, nie powinniśmy się wyrzec pod żadnym warunkiem. J. Z.

W jakich butach przemierzał człowiek świat

Na prawo: Modelka demonstrująca na londyńskiej wystawie obuwia różne rodzaje damskich pantofelków.

w tym rodzaju, saboty, na grubych drewnianych podeszwach, ale droga, którą przychodzi dziś koturnowe pantofelki, wiedzie jednak wprost ze świata antycznego. Nie zapominajmy jednak, że sandały Rzymianek były też koturnami w swoim rodzaju.

Znały koturny ludy starożytne, od których wywodzi się historia europejskiego trzewika. Na wazach etruskich widzimy koturny, pokrewne greckim i rzymskim. Wiemy dzisiaj, że było to obuwie ludzi najbogatszych, którzy mogli sobie pozwolić na piękne obuwie i obicie go delikatnymi skórkami w kolorze purpury lub złota.

Nowoczesne koturny posłużyły najpierw jako obuwie plażowe, gdzie spełniły wybitnie korzystnie swą rolę, podwyższając stopę powyżej poziomu nadbrzeżnego piasku, który nie miał dostępu do bosoj nóżki pięknej pani. Ale rola koturnów nie skończyła się na sandałkach plażowych. Obecnie zdobywają one coraz większy zasięg, czyto jako obuwie na ulicę, czy też nawet jako pantofelki balowe. I tutaj dopiero zabłysną one całym przepychem wschodniej bajki, czemu posłużą różnobarwne skóry, metalowe nabijania i sprzączki z kamieniami.

Dotychczasowy pantofelek balowy, szczytujący się często jak największą prostotą, poza wysokim francuskim obcasem, będzie co



Sztuka obdarowywania

Jednym z najstarszych zwyczajów towarzyskich, znanych już w najdawniejszych kulturach — jest zwyczaj obdarowywania swych bliźnich w pewnych ustalonych okazjach, lub poprostu w celu okazania im swej życzliwości lub podziwu. Sposób i ceremoniał obdarowywania ulegał przytem rozmaitym ewolucjom, zaim doszedł do dzisiejszego uproszczenia.

Z anegdot historycznych wiemy o zwyczaju ofiarowywania swym gościom kosztownej zastawy po ucztach, z wschodnich legend i podań pamiętamy, że gościnność dobrze pojęta nakazywała nawet czynić podarek gościowi z najpiękniejszej z swych żon, lub niewolnic.

Pamiętamy o wielkopańskim gościu Ossolińskiego, który wjeżdżając jako poseł królewski do Rzymu, gubił rozmyślnie na ulicach złote podkowy, które rumak jego był podkuty.

— Te szumne i bogate, dawne dobre czasy minęły bezpowrotnie. Dziś nawet najcenniejszemu gościowi nie ofiarowuje się swej żony, lub choćby złotego talerza, patrzy się natomiast z kwaśną, choć

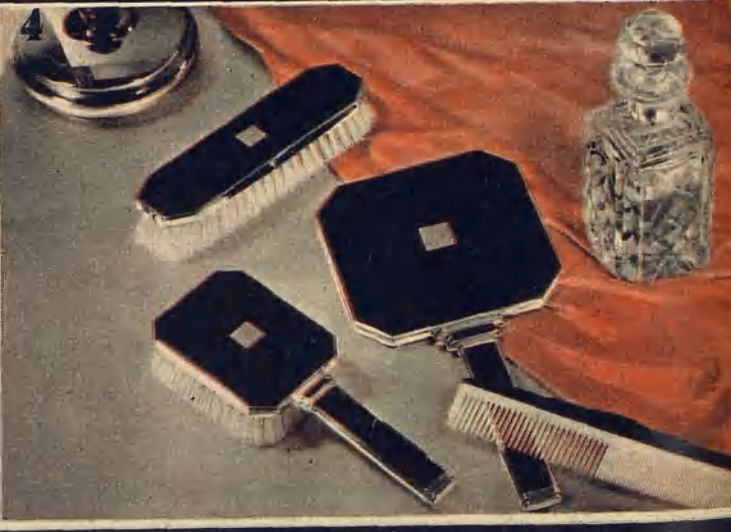
1. Elegancki garnitur: torbka, szal i modny parasol.

2. Dwa rodzaje pantofli — z białej skóry reniferowej.

3. Koperta do podróży — z wzorzystego chintzu na białizną.

4. Garnitur toaletowy — z czarnej emalii oprawnej w srebro.

5. Pudełko obciążone skórą wężową do przechowywania biżuterji.





uprzejmie osłodzoną miną, gdy gość ten wyleje czerwone wino na nowy obrus, lub przez nieuwagę słuźce filiżankę. Zrobiliśmy się znacznie skąpsi, a gesty nasze straciły na fantazji i wielkoduszności. Nie rozdajemy drogocennych klejnotów, bo nasze własne często „zimują” w zastawie, nie ofiarowujemy nikomu „konia

z rzędem”, gdyż z marnych 40 czy 60 HP., ciągnących naszą limuzynę, nie można tak łatwo poszczególnych koni wypręgać. Podarki nasze, choć straciły na materialnej wartości, stały się jednak różnorodniejsze i bardziej wyrafinowane.

Ten odwieczny przejaw socjologiczny, jakim jest zwyczaj obdarowywania się wśród ludzi żyjących w społeczności, ma — jak każda zresztą sprawa — dwie strony medalu. Przyjemnie jest w dniu imienin przyjmować kwiaty, cukierki, podarki — miło jest rozwijać misternie zapakowane paczki, w których kryje się niespodzianka. Ale i ta czynność ma już swe ciemne strony, jak np. ustawiczne szukanie drobnych dla posłańców, lub dziękowanie z wylaniem starej, znanej ze skąpstwa bogatej ciotce za włóczękowskie szalik w znienawidzonym przez nas kolorze „bordo” („sama ci go zrobiłam, duszko!!!”). Miło jest otrzymywać ładne drobizgi lub kwiaty na nowe mieszkanie, ale przeciąga się nam mina, gdy trzy nasze przyjaciółki jak na złość przeprowadzają się w jednym miesiącu, i to w listopadzie, kiedy akurat trzeba płacić węgiel na zimę i ra-

chunek u kuśnierza za reperację „wypnego” jeszcze futra.

Albo, bądźmy szczerzy, czy kto z nas bi prawdziwie maj, ten sentymentalny siac, opiewany przez słowiki i poetów. W Polsce niewielu jest chyba zwolenników tego miesiąca, jako że co drugi znajomy żywa się Stanisław lub Jan, a co trzeci zynka ma na imię Zofja, Janina lub na, i wszyscy właśnie w maju obchodzą imieniny. Któraż zaś Zofja nie zgrzyta bami, gdy za kwiaty, które otrzymała ju, kiedy kosztują grosze, trzeba było żować się przyjaciółkom, obchodzącym niny w grudniu czy w lutym, gdy jedu kosztuje 3 zł.!

Ale odłóżmy te goryczą zaprawione uwagi. Jednogłośnie przyznajemy, że zwyczaj robienia podarków jest miły i pełen uroku, i wszyscy pamiętamy z dzieciństwa, jakie chwile podniecenia i radości przeżywalismy na gwiazdkę, odkrywając pod drzewkiem, przez hojnego „aniołka” złożone podarki.

Umieć robić prezenty, to osobna sztuka dobrego smaku, a przede wszystkim szczerzej intencji zrobienia komuś przyjemności. Wielu załatwia kwestję podarku bezmyślnie i od niechcenia, byle uczynić zadość obowiązkom towarzyskiemu czy rodzinnemu, uważanemu zresztą za istną „piłę”. Inni, ożywieni najlepszymi nawet chęciami, nie mają dostatecznej pomysłowości, jeszcze innym brak środków materialnych, aby swe pomysły móc zrealizować.

W wyborze podarków powinniśmy starać kierować się zamiłowaniami, wiekiem, trybem życia i warunkami tego, kogo chcemy obdarować. Nie ofiarowuje się papierosniczy komuś, kto od roku przestał palić, gdyż prezent taki boleśnie zakrwawi mu serce.



1. Oto akcesoria stroju męskiego, które ofiarować można tylko bliskiemu przyjacielowi.
2. Oryginalne pudełko na papierosy z białego metalu, z wieczkiem obłożonym pergaminem.
3. Wszystko, co dotyczy stroju narciarskiego, staje się teraz właśnie aktualnym prezentem.
4. Dla kogoś, kto dużo podróżuje, piękny pled angielski będzie napewno miłym upominkiem.



SUFLET ŚLEDZIOWY. 4 duże śledzie mlecza, dokładnie wymyte z soli i łusek, moczy się w wodzie z mlekiem przez 24 godziny, poczem oczyszcza się je z skórki i ości i przepuszcza przez młynek wraz z rozmoczoną w mleku bułeczką. Mlecza przeciera się przez sitko i uciera z 2-ma żółtkami i łyżką masła oraz 2 łyżkami parmezanu, łyżeczką tartą cebulki, szczyptą pieprzu i łyżką gęstej kwaśnej śmietany. W końcu dodaje się pianę z 2 białek i łyżkę tartą bułki. Masę umieszcza się kąpiato na ogniotrwałym półmisku, posmarowanym masłem, posypuje tartą bułką z parmezanem i zapieka w gorącym piecyku przez 10-15 minut. Do sufletu podaje się fritki ziemniaczane lub ziemniaczki w mundurkach, albo też opiekanki z bułki.

KARP NA SZARO. Oczyszczoną z łuski rybę obmywa się dokładnie, następnie przekrawa nad miską, odrzuca z wnętrzości jelito, a krew chwytą na miskę, pomagając sobie paru łyżkami octu, którym się rybę wewnątrz wymywa. Ocet służy też do zapobiegania krzepnięciu krwi. Do rondla nigdzie nie obitego (żelazo zmienia smak ryby) nalewa się trzy szklanki wody i szklankę ciemnego piwa, ocet z krwią rybą, dodaje korzeni i włoszczyzny z kawałkiem cebuli, wkłada rybę w całości lub pokrajaną w dzwonka i nastawia do gotowania, uważając, aby ryba gotowała się bardzo powoli na kraju blachy. Czas gotowania zależy od wielkości, tj. grubości ryby. Karp trzyfantowy do 2 kg (te są najlepsze) ugotowany będzie po godzinie. Miara, kiedy ryba gotowa, jest próba wyjęcia płetwy, jeśli płetwa łatwo się od mięsa odrywa, można wyjąć rybę z rosółu. Do pozostałego smaku dodaje się 10 dkg kuchennego piernika, który się rozgotowuje, poczem się sos przeciera i do przetartego sosu dodaje się garstkę bezpestkowych rodzynek, 3 dkg parzonych migdałów, krajanych w cienkie paseczki, trochę drobno krajanej skórki cytrynowej i dorabia się smak cukrem i sokiem cytrynowym. Sos powinien być zawiesisty. Rybę układa się na głębszym półmisku i oblewa gorącym sosem. Resztę sosu podaje się w sosjerce. Osobno jako dodatek: kluseczki francuskie lub knedel bułkowy, tj. serwetowy, pokrajany w plastry, wreszcie makaron domowy lub włoski.

SOS DO RYB. Do ryby gotowanej lub pieczonej nadaje sos majonezowy lub gotowany, tzw. holenderski. Ten ostatni sporządza się w ten sposób: 5 żółtek uciera się z 5 dkg masła deserowego, wciska sok z połówki cytryny, dodaje trochę białego pieprzu, szczyptę soli, cukru i gałki muszkatulowej, dolewa pół szklanki wina i tyleż rosółu, poczem wstawia się naczynie w gorącą wodę i ubija sos na ogniu, aż zgęstnieje i zbieleje, nie dopuszczając jednak do zagotowania. Sos ten podaje się na gorąco.

ZIMNY SOS MAJONEZOWY utrząć można z surowych lub ugotowanych żółtek z dolewana kropkami oliwą, licząc po 4 łyżki oliwy na jedno żółtko. Utarty, gęsty majonez rozprawdza się sokiem cytrynowym, doprawia solą, odrobiną cukru i pieprzu białego. Dodawszy do tego sosu łyżkę francuskiej musztardy, kilka drobno posiekanych korniszonów, pikli i grzybków, otrzymujemy powszechnie lubiany sos tatarski. Sos ten powinien być ostry, dlatego zaprawić go należy winnym octem w miejsce soku cytrynowego.

SALATKĘ MAJONEZOWĄ otrzymamy, dodając do powyżej podanego sosu, różne krajane drobno, gotowane jarzyny, nie zapominając o selerze, który w tej salacie gra większą rolę przez swój specjalny aromat. Salatkę dobrze wymieszana, ułożoną na salatarce, ozdabia się po wierzchu zielonym groszkiem, pomidorami, twardym jajem i marynowanymi grzybkami.

MASA MAKOWA DO ŁAMANCÓW I STRUCLI. 25 dkg niebieskiego maku wysiewa się na gęstym sicie, następnie płucze w kilku wodach, poczem się go parzy wrzącą wodą i osącza na sicie. Zmielony w specjalnym młynku mak uciera się na misce, dodając potrosze 25 dkg cukru i 6 dkg masła; należy utarty mak smażyć się z dodatkiem szklanki gorącej kremowej śmietanki, wygotowanej z łyżeczką wanilii i szczyptą soli. Przestudzony mak miesza się z 1-2 białek, siekanymi migdałami, skórką pomarańczową oraz rodzynkami w dowolnej ilości.

Sc. Ko.



Kiedy zaczęło być ciasno w miastach, poczęto budować drapacze chmur: podobna ciasnota daje się odozuć w kuchni, lub też w kredensach, stojących w jadalnym pokoju. Gdy zastawa stołowa staje się coraz liczniejsza, kredens czy szafa pozostaje taka sama. Trzeba więc zaradzić tej ciasnocie: nasza ilustracja pokazuje nam „aparat”, w którym możemy stawiać jedną filiżankę na drugiej nie narażając je na potłuczenie. Jedną filiżankę od drugiej odgradzamy serwetką papierową.

7 + DNI + DOBREJ + GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 52		Grudzień	
		31 dni	
NIEDZIELA	18		Czernina z kluseczkami. Paszteciki z kiełbasą. Kuropatwy z brusznicami. Strudel z makiem.
Gracjana			Kolacja: Szyunka z sosem tatarskim.
PONIEDZ.	19		Rosół z jarzynkami. Sztuka mięsa zapiekana z chrzanem. Ozór peklowany z purée grochowym. Kompot mieszany.
Nemezjusza			Kolacja: Strudel z kaszą tatarską.
WTOREK	20		Barszcz z uszkami. Kardy i brukselka z masłem. Rozbeł z sałatką z czerwonej kapusty i fasolki. Budyn czekoladowy.
Teofila			Kolacja: Parówki w sosie pomidorowym.
ŚRODA	21		Zupa pieczarkowa. Faszerowana włoska karpusta. Kotlety cielece smażone z ziemniaczkami. Strudel z serem.
Tomasza ap.			Kolacja: Śledzie marynowane.
CZWARTEK	22		Zupa wątrobianą. Salsefia z masłem. Zrazy siekane z kaszą krakowską na grzybach. Knedleki drożdżowe gotowane.
Zenona			Kolacja: Bigos.
PIĄTEK	23		Barszcz żytni z twardym jajem. Marchewka z grzankami. Dorsz w sosie sardelowym. Ryżowy budyn.
Wiktoria			Kolacja: Bukiet jarzynowy.
SOBOTA	24		Obiad wigilijny: Zupa migdałowa lub barszcz z uszkami. Karp na szaro z knedlem bułkowym. Ryba na niebiesko z sosem holenderskim. Łańcuchy z makiem. Kompot mieszany. Torty, ciasta i owoce.

1. i Ew. + Wig.

Przepisy świąteczne.

PASZTECIKI POSTNE Z SUCHYCH GRZYBÓW. Licząc na dwie osoby 3 lkg suchych grzybów, gotuje się odpowiednią ilość, namoczonych na noc grzybów w tej samej wodzie, w której mokły. Zupełnie miękie grzyby prze-miela się w młynku wraz z gotowanymi wątróbkami ryb przeznaczonych na stół wigilijny, oraz małą suchą bułkę. Pół malej cebulki trze się na tarle i smaży na łyżce masła, dodaje zmie-ioną masę grzybkową, troszkę soli i pieprzu i smaży ją przez z kilkana minut, dolewając parę łyżek kwaśnej śmietany i troszkę smaku z pod grzybów. Do przestudzonej masy dodaje się dwa dobrze rozklucone jaja, miesza z niemi do-kładnie, nakłada masę w muszelki, posypuje sma-żoną bułeczką, kropi masłem i zapieka w gorącym piecyku przez 5 minut.

SALATKA Z RYB. Z pozostałych ze stołu wi-gilijnego ryb można sporządzić doskonałą sa-latkę. Nadaje się do tej salatek każda ryba w jakikolwiek sposób przyprawiona. Wszystkie resztki ryb obiera się czysto z ości, rozdrab-ia dwoma srebrnymi widełkami, gdyż od innego metalu ryba smak traci. Do ryb dodaje się kilka gotowanych ziemniaczków saladowych t.z. rogalków, kilka korniszonów i rydłów maryno-wanych, wszystko pokrajane w plasterki, kilka jaj na twardo w kostkę skrajanych i parę ły-żek zielonego groszku — oczywiście z puszki lub Wecka. Wszystko soli się, troszkę pieprzy i miesza z sosem majonezowym, utartym z 2 su-rowych żółtek i 5 dkg oliwy, dolewanej kro-plami. Do utartego majonezu dodaje się sok z całej cytryny, łyżeczkę (płaską) cukru i ły-żeczkę francuskiej musztardy. Chcąc salatkę podać wystawnie, formuje się z niej kształt ry-ry i przybiera półmisek anspiakiem, zieloną salata i jajami twardymi.

DOSKONAŁY MIODOWNIK. 25 dkg miodu i 12 dkg cukru, zagotowuje się, mieszając. Do przestudzonego miodu dodaje się 2 jaja, łyż-eczke różnych korzeni małego utłuczonych, 20 dkg ciemnej pszennej lub żytniej maki, oraz łyżeczkę potażu rozpuszczonego w kieliszku ru-mu. Doseć płynną masę wlewa się do natartej masłem formy (najlepiej nadaje się do tego grubo rondel) i posyuje po wierzchu tłuczonymi orzechami i krajaną skórką pomarańczową. Do-datkę te opadają w trakcie pieczenia do środka ciasta. Chcąc miodownik ten upiec z nadzianką, miesza się parę łyżek smażonej róży dobrze osączonej lub smażonej, konfitury z pomarań-cz z orzechami, wlewa większą część ciasta do formy, kładzie nadziankę i przykrywa resztę ciasta. Piec należy przez godzinę, stopniując ostrożnie ciepłotę.

TORT DAKTYLOWY. 25 dkg daktyli, 25 dkg nieparzonych migdałów, 10 dkg cytronatu, wszystko drobno posiekane, miesza się z pianą, ubitą z 10 białek, do której to piany w trakcie ubijania dosypuje się 20 dkg cukru. Dodawszy 2 łyżki tartej bułki lub tartych biszkoptów, wlewa się masę do natartej masłem tortownicy i piecze przez 40 minut. Upieczony wystudzony tort oblewa się lukrem czekoladowym lub po-madkowym z makiem cytrynowym i wstawia na chwilę do gorącego piecyka, aby polewa nabrała połysku. To ostatnie stosuje się tylko przy lukrze pomadkowym.

POLEWA CZOKOLADOWA. Z 8 dkg cukru i 4 łyżek wody gotuje się gęsty syrop. Na mi-seczce rozmięcza się w cieple 10 dkg czekolady i uciera z dolewaniem po troszeczce gorącym sy-ro-pem cukrowym. W końcu dodaje się łyżeczkę masła deserowego, a gdy to się rozpuści w pole-wie, wylewa się ją szybko i równomiernie na tort, nie dotykając ani obróbnąjąc nożem. W ten sposób polewa będzie gładka z poly-skiem. Wierzch tortu ozdabia się dookoła po-lówkami orzechów.

RULADA ŁOSOSIOWA. Gotowanego łososia (z puszki) miele się dwa razy, dodaje 2 łyżki tartego parmezanu, 1 całe jajo i 1 żółtko oraz trzy łyżki tartej bułki. Z masy tej formuje się dość gruby walek, który się zawija w serwetę, wkłada na wrzącą osoloną wodę i gotuje przez 15 minut. Po ostudzeniu wyjmuje się ruladę z serwetki, kraje w placki, pokrywa majonezem i posypuje siekanymi kaparami.

Tę samą ruladę sporządzić można skromniej z każdej gotowanej ryby, z tą odmianą, że na-leży żółtka utrzeć z sporą łyżką masła, potem dodawać po troszeczce wszystkie inne dodatki, jak wyżej podano, na samym końcu pianę z białka i tartą bułkę.

Sc. Ka.

HOCKI-KLOCKI

PRZYKRY ZAWÓD.



— Z początku zdawało mi się, że będę dobrze czuła w biurze, ale teraz okazało się, że mój szef naprawdę zwraca uwagę jedynie na dyktowanie mi listów...

(„Esquire”)

Dokończenie ze str. 29-ej.

Wybór prezentu świadczy nie tylko o na-szym stanie majątkowym i hojności, lecz przede wszystkim o naszej kulturze, dobrym smaku i delikatności uczuć. Drobiazg, umie-jętnie wybrany i ładnie podany, może wię-kszą zrobić przyjemność od kosztownego prezentu, którego jedyną zaletą jest wysoka cena. A jakież ogromny jest wybór wśród takich drobiazgów! Nie potrzeba się ograni-czać do stereotypowego wazonika na kwia-ty dla pani, a krawatu dla pana, bez trudu można znaleźć coś oryginalniejszego. Dla u-latwienia podajemy naszym czytelnikom ca-ły szereg pomysłów w naszych ilustracjach.

Mówiąc o kulturze podarków, trudno nie wspomnieć o roli, jaką w tej dziedzinie mo-że i powinna spełniać książka. W kultural-nych krajach Zachodu stanowi ona ogrom-ny procent podarków wśród ludzi intelligen-tych. Nadaje się na prezent doskonale, tem-bardziej, że można jej wybór dostosować do każdego wieku i do najróżnorodniejszych zamiłowań, a przede wszystkim do każdej kieszeni. Książka może być najtańszym i najdroższym prezentem: od skromnego to-miku poezji aż do bezcennych białych kru-ków bibliofilskich, skala jest ogromna. — Nie zdajemy sobie sprawy, jakim elementem dekoracyjnym są przytem książki w nowo-czesnym wnętrzu. Nauczmy się więc kupo-wać książki naszym przyjaciołom, zamiast cukierków lub bezwartościowych fatałas-ków!

Sposób ofiarowywania podarków i ich wybór, to również kwestja dobrego wycho-wania. Tu także rządzi pewien kodeks to-warzyski, pewien „savoir-vivre”, którego nie można lekceważyć. Kodeks ten nie pozwala np. ofiarowywać znajomej kobiecie prezen-tów zbyt „intymnych” z dziedziny stroju. — W złym guście jest również ofiarowywa-nie zbyt kosztownych podarków ludziom, którzy nie mogą się nam odpowiednio zre-wanżować, chyba że są to bardzo bliscy

Najmilszy podarek
Na Święta



ZEGAREK

MOVADO

162 PIERWSZE NAGRODY

krewni lub przyjaciele. Nie daje się też w podarku rzeczy używanych, noszonych, nieświeżych, albo przedmiotów czysto prak-tycznych, użytkowych. Rzecz przeznaczona na prezent musi być w najlepszym stanie i w najlepszym gatunku. Lepiej ograniczyć się do drobiazgu, niż dawać rzecz preten-sjonalną, a lichą i tandetną. Przytem nale-ży zwrócić uwagę na estetyczny sposób o-pakowania i podania. Nie ofiarowuje się np. cukierków, choćby najlepszych, w zwykłej papierowej torbie, nie posyła się wazonika na kwiaty pustego, bez kwiatów, ani też pu-stej bombonier, nawet najkosztowniejszej.

Prezent nie powinien być zdawkową to-warzyską monetą, lecz prawdziwym darem, objawem pamięci i serca. Wartość jego, to nie tylko cena, którą zań zapłaciliśmy, ale serdeczna i subtelna myśl, która kierowała jego wyborem, uczucie którego ma być wy-razem i symbolem.

Lady Like.

Rozwiązania z Nru 50-go.

POWRÓT TATY.

Na podstawie wyprowadzonej nierówności mo-żna obliczyć, że Wladek był najstarszym z ro-dzeństwa.

SKOMPLIKOWANY WYŚCIG.

Wytłumaczenie jest niezmiernie proste! Od dwunastego słupa kilometrowego do szóstego jest 6 km, ale od szóstego do pierwszego jest tylko 5 km.

ZIELONE SUKIENKI.

11 czerwca zieloną sukienkę włożyła Bella.

STOP METALI.

Stop ważył 174 kg 468 gr, a sama miedź wa-żyła 10 kg 468 gr.

BRACIA I SIOSTRY.

Nasz miłośnik rozrywek miał trzy siostry i trzech braci

JEDENASTY DZIEŃ.

Niedziela.

ROZWIĄZANIE ZADANIA SZACHOWEGO.

1) H a—6—b7. Jeśli H bije H, wówczas Se8—d6 mat, jeśli H bije G e8, H—h7 mat itp.

O tak! - to warto

zobaczyć... przeczytać... usłyszeć...

NA SCENIE

WARSZAWA. Teatr Ateneum — pod dyrekcją Jarczaka — wystawił komedję młodego autora francuskiego Roger Ferdinanda pt. „Kupiec i poeta”. w przekładzie Gabriela Karskiego. Sprawnie wyreżyserowała tę sztukę p. St. Perzanowska. Wśród wykonawców trzeba wymienić przede wszystkim pełną wdzięku Ewę Bonacką, wybornego Chmielewskiego, świetnego Maszyńskiego — w rolach głównych. Dekoracje projektował p. Wł. Daszewski.

LWÓW. W Teatrze Wielkim ujrzymy schillerowską „Intrygę i miłość” w przekładzie Juliana Tuwima. Inscenizatorem widowiska był dyr. Szpakiewicz. Stylową oprawę dekoracyjną opracował p. Mieczysław Różański. Rolę Ferdynanda odtworzył p. Staszewski, Luiza była p. Ankiewicz-Szykowska. Mieczysław Węgrzyn stworzył kapitalną sylwetkę jako szambelan von Kalb. Dobry był też p. Madaliński jako Wurm. Znakomitą lady Milford była p. Suchecka. Trzeba poza tem wymienić pp. Machalskiego (Miller) i Kwiatkiewiczową (żona Millera).

NOWE KSIĄŻKI

Marja Kuncewiczowa: Obecnie, gdy się tyle mówi „Miasto Heroda”. o Palestynie, „Rój”, Warszawa, nie, o kwestii żydowskiej, gdy codziennie prawie depesze przynoszą nam wiadomości o nowych, krwawych zaszłościach w tym kraju, które wyrwywają z kręgu żywych zarówno Żydów, jak Arabów i Anglików — książka Marji Kuncewiczowej o Palestynie nosi cechy wszelkiej aktualności. Po głębokiej książce Ksawerego Pruszyńskiego, jest to druga w naszej literaturze poważna rzecz o dzisiejszej Palestynie. Znakomita autorka „Cudzoziemki” i jakże popularna twórczyni „Państwa Kowalskich”, zwiedzała Palestynę niedawno, jak się zdaje zaledwo przed kilku miesiącami i w swej obecnie wydanej książce zestawiała wszystko, co widziała w ciągu swojej podróży, głównie w Tel-Awiwie i w Jerozolimie. Skromnie mianuje Kuncewiczowa swą ostatnią książkę jedynie „notatkami palestyńskimi”. „Miasto Heroda” jednak, to nie są notatki — jest to w różnych fragmentach stopiona całość, odzwierciedlająca duszę tego kraju, jest to znakomita i wnikliwa charakterystyka ludzi, którzy go zamieszkują, jest subtelne oddanie ich nastrojów, ich mierzalnej tęsknoty za pierwszą ojczyzną — Polską. Ale

przede wszystkim uderza w tej niecodziennej książce gorący prąd, który przemyka po wszystkich jej kartach, nurt żarliwości, atmosfery wzięta przez świetny talent polskiej pisarki z opisywanej ziemi — atmosfera, którą stwarza dla ziemie, która kochających ludzi wyraz „Ojczyzna” — najpiękniejszy we wszystkich językach świata, a więc także i w brzmieniu „Erec”. Książka wydana jest bardzo starannie.

W. Z.

„Strumień ognisty” Podobnie, jak **Francis Mauriac**, inne dzieła **Tow. wyd. „Rój”**. Mauriac, —

„Kłębowski zmij”, „Teresa Desqueyroux” itd., tak też i ostatnia jego powieść osnuta jest na tle niezwykle finezyjnych, trudno uchwytnych i nieraz bardzo trudnych do wyrażenia stanach duszy i psychologicznych

przemianach człowieka. Młody Parryżanin Daniel Tarsis „zawodowy” donżuan, stara się uwieść młodą dziewczynę p. de Plailly, spotkaną przypadkiem na letnisku. Zazdrość budząca się w nim, rozważania na temat przeszłości swej ofiary i wiele innych momentów psychologicznych odsłaniają w sposób mistrzowski zakamarki duszy ludzkiej, w tym wypadku duszy chorej, jeżeli nie spalonej. Na swej drodze ku zdobyciu p. de Plailly młody człowiek spotyka jednak przeszkodę w postaci p. de Villeron, opiekunki młodej dziewczyny, która, kierowana ascetyczną wiarą, stara się ochronić ją przed dostaniem się w sidła na nią zastawione. Najejakaższą postacią powieści jest zapewne sama ofiara: będąc pod moralną kuratelą swej opiekunki, pozbawiona swobodnego decydowania o swym losie, wiecie ona dziwny żywot na marginesie życia. Dwa momenty waleczą w jej duszy: wpojona wiara i równocześnie chęć poznania życia, chęć przeżycia wielkiej miłości. Mauriac z właściwą sobie precyzją i psychologiczną wnikliwością traktuje te trzy główne postaci powieści, rozcinając najdrobniejsze nawet ich odruchy serca skalpelem świetnej obserwacji. Jak zwykle, tak i tym razem wprowadza on swych bohaterów w niezwykle skomplikowane, pełne psychologicznych niebezpieczeństw sytuacje, które pozwalają mu oświetlić ich charakter w sposób ciekawy i oryginalny. Problem wiary przewija się przez perypetie postaci powieści, tworząc niejako tło ich przeżyć. Jest to książka pobudzająca nas do wielu refleksyj na tematy społeczne i etyczne. Tłumaczenie H. Hellerówny poprawne.

Alfred Döblin: W dobrym przekładzie Lucjana Szeniwalda ukazała się wreszcie „Rój”, Warszawa, która zdobyła już sobie wielkie powodzenie zagranicą. Bo jest to istotnie powieść pasjonująca, świetnie napisana. Döblin opisuje w tej książce w kolorowej formie obfitej fabuły powieściowej dzieje podboju dorzeczy Amazonki przez białych, opisuje silnie i wyraziście te potworności, z którymi wdarli się biali ludzie na świętą ziemię Czerwonych. Mordy i pożogi, znęcanie się, wprost tępienie masowe nieszczęśliwych czerwono-skórych — oto temat tej powieści. Chociaż i wśród białych ukazuje autor czasem lepsze typy czy lepsze porywy, jednak po przeczytaniu tej książki traci się do nich wszelki szacunek, a całe współczucie — o kilka wieków spóźnione! — ma czytelnik dla tubylców, którzy żyli sobie przedtem na swej własnej ziemi, jak w raju, naiwni, szczęśliwi, spokojni, pełni dobroci i szlachetności. Piękna to jest powieść — i, o dziwo! — aktualna... W dzisiejszej bowiem dobie jakże bardzo odżyło w różnych szerokościach geograficznych to wszystko, co nosiły blade twarze czerwono-skórych, a co nas dzisiaj — gdy przeszły stulecia — napawa grozą, obrzydzeniem i smutkiem. Powieść przełożona jest z języka niemieckiego.

W. Z.

NAJLEPSZE AUDYCJE POLSKIEGO RADJA

Niedziela, 18 grudnia.

- 11.45 Muzyka w okresie Świąt Bożego Narodzenia — feljton, wygłosi E. Rudnicki.
- 12.03 Poranek symfoniczny z Łodzi.
- 16.30 Arje i pieśni operowe — koncert wokalny.
- 17.00 „Małżeństwo doskonałe” — premjera słuchowska.
- 17.30 Podwieczorek przy mikrofonie.
- 21.20 „Kraina uśmiechu” — operetka Lehara.

Poniedziałek, 19 grudnia.

- 15.30 Muzyka obiadowa z Katowic.
- 16.35 Recital fortepianowy Ilsy Rodzińskiej.
- 18.30 Pills i Tabet w piosenkach solowych i zespołowych.
- 19.30 Koncert rozrywkowy z Łodzi.
- 22.00 „Dzieje symfonii” — audycja muzyczna.

Wtorek, 20 grudnia.

- 15.30 Muzyka obiadowa z Poznania.
- 17.00 Arje operowe w wykonaniu St. Drabika.
- 19.00 Koncert rozrywkowy.
- 21.00 Koncert Twa Krzewienia Muzyki Kameralnej.
- 22.05 „Słask dzisiejszy” — audycja słowno-muzyczna.

Środa, 21 grudnia.

- 15.30 Muzyka obiadowa z Wilna.
- 17.00 Pisarze współcześni o żołnierzu.
- 17.15 Koncert kameralny z Krakowa.
- 19.00 Koncert rozrywkowy z Poznania.
- 21.00 Opowieść o Chopinie „Marja Wodzińska”.

Czwartek, 22 grudnia.

- 15.30 Muzyka obiadowa.
- 17.20 Utwory fortepianowe Pantcho Wladigerowa.
- 19.00 Koncert rozrywkowy.
- 21.30 Utwory chóralne kompozytorów polskich w wykonaniu Poznańskiego Chóru Katedralnego.
- 23.05 Koncert kameralny w wyk. Eug. Umińskiej — skrzypce i Zyg. Dygata — fortepian.

Piątek, 23 grudnia.

- 15.30 Muzyka obiadowa z Poznania.
- 16.35 Paul Dukas „Uczeń czarnoksiężnika” — Scherzo symf.
- 17.00 Opowieść o Bachu.
- 19.15 Kartki z Finlandji — koncert rozrywkowy.

Sobota, 24 grudnia.

Wigilia.

- 16.25 Wigilia na straźnicy KOP.
- 17.20 „Orzwi zamknięte”, fragm. z powieści Rittnera.
- 18.30 Przemówienie wigilijne prymasa Polski ks. kard. dr A. Hlonda.
- 19.15 Transmisja z Konserwatorium w Warszawie.
- 19.45 „Z opłatkami u marynarzy”, transm. z Gdyni.
- 21.35 Koncert wigilijny.
- 23.50 Boże Narodzenie na Zaolziu, feljton.
- 24.00 Transm. Pasterki z Jabłonkowa na Zaolziu.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa”, zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materiałów Redakcja nie zwraca. Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczenia egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie, do Urzędu Pocztowego (doreczeniowego), a nie wprost do Administracji.

Zakłady Graficzne „I. K. C.”, Kraków, Włocławek 1, pod zarządem Franciszka Czajki. — Miejsce wydania: Kraków, Włocławek 1